№ 9. Warszawa, dnia 3 Marca (19 Lutego) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

NIEBEZPIECZNE ZBOCZENIA.

Koło polskie wiedeńskiej Rady państwa ugrzęzło w kłopotach, które zaczynają okazywać dowodnie, że oparło się na trzęsawisku. Pomijając porażkę, o której korespondent nasz wspomina dziś w „Cudzych głosach," zatrzymamy się przy innej sprawie, zakreślającej ciemny nimbus nad głowami przedstawicielstwa galicyjskiego. Mówimy o t. z. noweli szkolnej. Jak już dawniejszym czytelnikom *Prawdy* wiadomo, w łonie prawicy parlamentu austryackiego narodził się projekt zmiany dotychczasowych przepisów szkolnych w tym kierunku, ażeby czas nauki elementarnej (obowiązkowej) uległ skróceniu i ażeby ona przyjęła charakter wyznaniowy. W duchu tej reformy nauczyciel szkoły winien należeć do tej samej religii, co większość uczniów. Co to znaczy — szczerszy od innych Macchiavelików klerykalnych kardynał Schwarzenberg wypowiedział jasno: chcemy, aby szkoła wróciła pod kierownictwo duchowieństwa. Nie potrzebujemy tu wykazywać, jak dalece ów „powrót" jest niepożądanym a wspólny między nauczycielem i uczniami mianownik religijny dla oświaty niebezpiecznym. Jeżeli bowiem ostatni ma wejść jako zasada, to przecie nie dla względów czysto formalnych, lecz dla wywierania łatwych do odgadnięcia wpływów. A więc znowu szkoła przestaje być instytucyą samoistną i zamienia się na kruchtę kościelną. Zrozumielibyśmy racyę podobnej przemiany tam, gdzie religia występuje jako czynnik polityczny i gdzie za jej pośrednictwem ratować potrzeba zagrożoną narodowość. Ale w autonomicznej Austryi potrzeba taka nie istnieje, zamach przeto na niepodległość szkoły jest tylko chęcią posunięcia zagonów klerykalnych w stronę najważniejszą — w stronę oświaty. Jej obowiązkowość wymaga znacznej a ciągle jeszcze brakującej liczby nauczycieli, których nowa ustawa jeszcze uszczupli. Ileż razy bowiem zdarzy się, że jakaś miejscowość nie będzie mogła korzystać ze zdolnego nauczyciela skutkiem jego odmiennego wyznania! Zapewne, zająwszy stanowisko p. Happke, który niedawno odmówił złożenia przysięgi przed sędzią żydem, gdyż to by „zadało gwałt jego sumieniu," można tę logikę przenieść na wszystkie dziedziny życia i z równą słusznością dowieść owego „gwałtu," gdy ewangelik uczyć będzie składania liter katolika lub odwrotnie. Są to jednakże orzechy dziurawe, na których długo jeszcze ludzie gwizdać będą, ale w których ziarna rozumu niema. Szkoła elementarna winna być przybytkiem umysłowego kształcenia, niezależnego ani od Lutra, ani od Kalwina, ani od koncyliów.

Posłowie galicyjscy oświadczyli się przeciw wyznaniowej noweli szkolnej — dla czego? Czy może z pobudek liberalizmu? Pospieszamy co prędzej zdjąć z nich to niezasłużone podejrzenie. Oświadczyli się przeciwko niej ze względu na... rusinów, których nauczyciele katoliccy kształcić by nie mogli. Pozostawiamy tym razem na boku bezpłodne i tylko drażniące misynarstwo, podejmowane wtedy, kiedy raczej należałoby ratować własnych braci od germanizacyi; ale smutną jest moralna strona układu co do projektu szkolnego. Ponieważ projekt ten pod głosami polaków mógłby upaść, więc wytargowali sobie, że on nie będzie dotyczył Galicyi (i Dalmacyi). W polityce, bardziej niż gdziekolwiekbądź, egoizm jest regułą; nie mamy więc za złe Kołu polskiemu, że ocaliło swój kraj od złej ustawy, przebaczamy mu nawet pobudki w tej mierze, zwłaszcza że rusini około swoich interesów chodzić umieją, ale niepodobna pochwalić tego, że ono ofiarowało swe głosy za prawem, którego brzemię inne części państwa dźwigać muszą.

Gdyby posłowie galicyjscy postanowili wstrzymać się od głosowania, byliby w porządku; ale czynna ich pomoc, wyraźnie szkodliwa dla innych krajów, jest wielkim błędem taktycznym, nadewszystko w chwili, gdy trzeba ratować honor reprezentacyi, splamiony sprawą Kamińskiego i sp. Potknięcie się to wyzyskują niemcy w parlamencie i prasie, a przewidzieć łatwo, jak ostry z niego ukuli oręż do walki.

Całą długością języka i całą szerokością gardła krzyczą, że polacy używają swego wpływu w rządzie austryackim na ciemiężenie innych ludów i wskrzeszanie reakcyi, że wychodzą po za granice interesów własnych dla krzywdzenia cudzych, że dorwawszy się do władzy, zdradzają zachcianki ucisku. Niewątpliwie, na skrzydłach złości lecą te krzyki dalej, niż im starczy grunt dowodów, ale wstrząsają nieutrwalonem i ciągle chwiejnem stanowiskiem Galicyi w państwie austryackiem i mogą rozedrzeć autonomiczny żagiel, pod którym ono obecnie płynie.

Czemukolwiek polacy zawdzięczają ustawiczne trzymanie się na wierzchu i niezatonięcie w tem morzu wrogich żywiołów, które ich zewsząd otacza, zawdzięczają ratunek także moralności swych działań. Kant powiedział: „Żaden filozof nie zdołał

dotąd pogodzić zasad państwowych z moralnością a przecież żadnych lepszych, któreby się dały pogodzić z naturą ludzką, nie postawił.“ Stara to prawda, że etyka i polityka są wiecznie pokłóconemi z sobą siostrami, a jednak ta poniewierana przez mężów stanu i wyśmiana przez graczów praktycznych moralność staje się nieraz jedyną patronką spraw narodowych, przez wszystkie instancye daremnie przeciąganych. Czuje to dziś Koło polskie w Wiedniu, obryzgane błotem p. Kamińskiego i zaskoczone na drodze spekulacyi politycznych, w których o słuszności zbyt zapomniało. Drobne narody ulegają temuż samemu losowi, co biedni ludzie. Możny dla szybkiego zbogacenia się popełni tysiąc oszustw i ludzie jeszcze niżej będą zginali przed nim swe karki: ubogi zerwie dla swego dziecka makówkę w cudzym ogrodzie — i wszyscy go potępią. O tem powinni pamiętać posłowie galicyjscy. Idą oni nie po szerokiej drodze, ale po cienkim drucie — najmniejsze zboczenie od równowagi moralnej może ich narazić na niebezpieczne spadnięcie.

Albo... albo...

Gdy przed laty kilkunastu, po wystąpieniach Szujskiego i towarzyszów jego chorągwi, w zagranicznej prasie polskiej wywiązała się namiętna walka o programy polityczne, rozumieliśmy jej powód. Z „mądrości polaka po szkodzie“ narodziła się nowa idea, która wypowiedziała wojnę dawnej, starły się z sobą dwa stronnictwa, dwa obozy, niemal dwie epoki. Gdy jednakże dziś zrywa się podobna burza, mimowoli zapytujemy: co zaszło? Wydano na cześć Jeża *Ogisko* a w niem pomieszczono artykuł „Wskazania polityczne,“ Jeż odpowiedział na adres młodzieży, a skutkiem tego: *Czas* napada na Jeża, *N. Reforma* na *Czas*, *Kuryer Codzienny* tłucze kogoś bezimiennie, *Kuryer Warszawki* szkaluje *Prawdę*... słowem powstaje gwałt, wrzawa, gęganie gęsi kapitolińskich i szczęk oręża rozbudzonych rzymian. Naturalnie w kurzawie boju jego przedmiot znika, pozostaje godzenie osób na osoby, wymysły, i łajania, cała strategia wysnuta z Molierowskiego; *calomniez, calomniez!* — na intencyę „dobra ogółu.“ Łżyć przeciwnika a co najmniej potępiać—pod tym znakiem zwycięża każdy, kto go sobie za godło obrał. No, ale ostatecznie ta walka ma jakiś cel, chociażby wszczęła się stąd, że ktoś w ogrodzie tego „dobra ogólnego“ uszczknął i wpiął sobie białą, a ktoś inny — czerwoną różę.

O cóż idzie?

Wszyscy godzą się, że potrzeba wznieść a raczej odbudować piramidę. Jedni wszakże utrzymują, że dla dokonania tej pracy należy zająć się wyłącznie staczaniem brył, ciosaniem ich i murowaniem podstaw, dalszy zaś ciąg dzieła i jego szczyt pozostawić pokoleniom, które po nas nastąpią. My — mówią oni — możemy to tylko zrobić, na nic więcej nie starczą ani nasze siły, ani czas naszego życia.

Drudzy krzyczą: to abdykacya, doktryneryzm: piramida musi być cała, natychmiast, ze szczytem.

Naturalnie w imieniu pierwszych odpowiedzieć możemy łatwo: zbudujcie ją! My usuniemy się na bok i uklękniemy przed waszą wielkością. Tylko bez wykrętów, bez frazesów, bez szalbierstw, powiedzcie prosto, otwarcie, pozytywnie: gdzie macie środki i siły? Gdzie tkwią przyczyny, z których wynikną przewidywane przez was skutki? Rozmaici protektorowie wymarli lub zdemaskowali się, o cudach dawno nie słychać, własne ręce za słabe, więc gdzie tkwi tajemnica potęga, która o nas marzy? „Europa stoi na wulkanie“— „kataklizm bliski“ — „gmach polityczny zarysował się i wkrótce runie“ — jeżeli te wykrzykniki i proroctwa mają być oparciem dla polityków realnych, to szanowni architekci mają dopiero lód, po którym kaczka dziennikarska przejdzie, ale na którym żaden zamek się nie utrzyma. Owe wulkany, kataklizmy i rysy mogą być obserwacyą prawdziwą, lecz gdy się burza zbiera, żaden meteorolog polityczny nie wywróży, na czyje pola grad spadnie. Pewnym jest tylko gospodarz, który swoje plony zwiózł do stodoły. Nam właśnie chodzi o stodołę. Lepszy od nas wszystkich pisarz polityczny powiedział: „Polityka nie powinna swoich zadań *wybierać*, lecz je *przyjmować*, jak one się z miejsca i czasu dobywają.“ Żaden mąż stanu, żaden roztropny naród, który chce uniknąć zawodów i omyłek, nie powinien stwarzać sobie położeń fikcyjnych i zasłaniać stosunków rzeczywistych urojonymi, nie wybierać zadań, lecz je przyjmować i spełniać. Gdzieindziej napisaliśmy: Jakkolwiek przykrą i niemiłosierną musi być konieczność, w każdym razie jest ona prawem dla woli i czynu ludzi rozumnych. „Prawda — powiada na to *N. Reforma* — ale trzebaby przedewszystkiem *udowodnić*, że ta mniemana (!) konieczność jest rzeczywistą koniecznością, że odmienioną być nie może.“ Nie śmiemy fatygować szan. redakcyi *N. Reformy* do Warszawy, ale jeżeli ona w Krakowie i z Krakowa owej „konieczności“ nie widzi, to niech w swobodniejszym dniu zrobi wycieczkę bodaj do Słomnik lub Proszowic, a może uwolni nas od obowiązku złożenia „dowodu.“ Zresztą nie mamy nic przeciwko temu, ażeby tak wiele obiecujący dziennik ową konieczność „odmienił.“ Powtarzamy poprzednie przyrzeczenie: ucałujemy ręce.

Niestety, te obiecanki słyszymy już od bardzo dawna, ale nie jesteśmy w znacznej części tak głupi, ażeby one nam dziś sprawiały radość.

My dzwonimy tylko w małe sygnaturki, budząc naród do pracy, wy bijecie w wielki dzwon od pół wieku — powiedzcież coście wydzwonili? Co waszej zasadzie winno społeczeństwo od ostatniej klęski? Dwu galicyjskich ministrów — za mało. A teraz co winno zasadzie, którą my wyznajemy? Szybki, względnie do warunków niezwykły rozwój umysłowy, piśmienniczy, ekonomiczny i handlowy. Jedną myśl, którą stańczycy w Galicyi podjęli, my w Królestwie wprowadziliśmy do życia—myśl walczenia o byt pracą i oświatą.

Spotkanie

przez

Maksa Nordau.

Było to 1 listopada 1878 roku. Wystawa powszechna została zamknięta, a p. Rudolf Weltti wybierał się z powrotem do ojczyzny swojej, Szwajcaryi, spędziwszy nad Sekwaną dwa tygodnie. Przed sobą samym podróż tę usprawiedliwiał chęcią widzenia wielkiego bazaru na Polu Marsowem; w rzeczywistości zaś badanie wystawy, chociaż ona dla niego, jako inżeniera, wiele ciekawych przedstawiała szczegółów, było czemś zupełnie podrzędnem. Pobytu swego w Paryżu używał głównie na spacery po ulicach, na wycieczki wokolice, na błądzenie wśród muzeów, słowem, na nieskończone wędrówki do wszystkich owych miejsc, na których przed ćwierćwiekiem w ciągu trzech lat rozgrywało się jego życie studenckie i których obraz wiązał się z najdroższemi wspomnieniami jego młodości.

Ćwierć wieku! Prawie całe życie ludzkie. I przez cały ten czas ani razu nie był w Paryżu. Gdy go opuszczał, czynił to z zamiarem bardzo rychłego i bardzo częstego powrotu. Ale, jak to zwykle się dzieje, życie zgryźliwie sprzeciwiało się wesołemu zamiarowi. Skrępowany był okowami obowiązku, więc tylko fantazyą wybiegał w nęcącą, szarą dal.

Kto pierwszy raz jedzie do Rzymu, ten rzuca pieniądz do Fantana-Trevi dla zapewnienia sobie widoku wiecznego miasta powtórnie. Z Paryżem nie potrzeba się łączyć za pomocą tego rodzaju drobnych praktyk przesądnych. Czar jego tajemniczy działa bez pomocy zastawu, wabi i pociąga nieobecnego tak, iż nie zazna odpoczynku, aż doń powróci. Lecz dla czegóż czar ten przypisywać tylko Paryżowi? Posiada go każde miejsce, w którem byliśmy młodzi, marzyliśmy, kochali i cierpieli. Mamy dlań uczucie, jakie żywi oracz dla roli, której powierzył swe ziarno. Pragniemy przekonać się, czy znajdziemy jeszcze ślady przejścia naszego i radośnie jesteśmy zdziwieni, widząc, że wszędzie, gdzieśmy posieli młodość, najlepszą część naszej istoty—bogate wspomnień weszło żniwo.

Co rok Rudolf postanowiał jechać do Paryża, co rok musiał odkładać do następnego i zaczął już stopniowo przyzwyczajać się do smutnej konieczności, gdy wystawa powszechna z r. 1878 stała się dlań zewnętrzną pobudką do urzeczywistnienia oddawna żywionego planu. Chwile rozrywki, których łaknął od wielu lat, upłynęły szybko, jak sen, i wypadało na nowo schylić kark pod jarzmo powszedniej pracy obowiązkowej. Ostatni dzień pobytu jego w Paryżu był dniem wszystkich świętych. Rudolf razem z tłumami paryżan zwiedzał w nim cmentarze. Pierwsze godziny popołudniowe spędził na Père Lachaise, gdzie, prócz zdawna znanych sobie grobów, z wielkiem zajęciem przyglądał się tym, które od czasów jego studeckich świeżo tu przybyły — mogiłom Musseta, Rossiniego, Micheleta, Regnaulta, hrabiny d' Agoult i innych znakomitości.

Z Père Lachaise pojechał na Montmartre, gdzie zamierzał tylko na grobie Heinego złożyć wianek nieśmiertelników. Już raz jednak tu będąc, nie mógł odejść bez bliższego rozejrzenia się.

Powoli kroczył wśród szeregów mogił, gdzie śród zwyczajnych płyt kamiennych i skromnych krzyżów żelaznych nieopodal pyszne wznoszą się pomniki, w których napisy rzadko tylko zasługują na uwagę wędrowca i które najczęściej stanowią monumentalne dowody po za grób sięgającej próżności tych, co pod nimi spoczywają.

Na wielkie święto umarłych groby różnorodnie się przystroiły. Wąskie ścieżki wokoło posypane były świeżym, żółtym żwirem i piaskiem; doniczki z kwiatami kwitnącymi stały na nagrobkach i u stóp krzyżów, na ramionach których zwieszały się nadto sploty z bluszczu i żółtych lub czerwonych nieśmiertelników; nie brakło i owych wieńców niezdarnych z pomalowanego gipsu i paciorek szklannych o przesadnych napisach, hańbiących przemysł paryski. Obok grobów, na których znać było czujność ręki troskliwej i których mieszkańcy widocznie jeszcze złączeni byli węzłami miłości z istotami, oddychającemi wśród kręgów słonecznych na ziemi, nierzadkie widniały mogiły zapadłe i opuszczone, po nad którėmi unosiło się ledwie kilka liści wyblakłych z papieru, które

Gdzie lepsze owoce, która dzielnica polska przoduje innym — a przecież w rozwoju naszym nie mieliśmy żadnego z przywilejów galicyjskich. Nasz chłop jest zamożnym, posiadacz większej własności z matni służebnościowej się wywija i z upadku dźwiga, a galicyjscy obywatele i lud giną w uściskach lichwy. Nasza prasa posiada przeszło czterdzieści organów, stojących o własnej sile, prawie wszystkie dzienniki galicyjskie żyją z subwencyi. Podobne różnice wszędzie. To nie pochwała warunków, ale dowód, że rozwój wewnętrzny, większe cuda tworzy, niż wielka dyplomacya.

Ktoś dowcipnie scharakteryzował zdrowy rozsądek polityczny: brać od okoliczności wszystko, co dają, a z niczego ich nie kwitować. Dają za mało — brzmi wawelski dzwon — to nie dosyć! Kto mówi dosyć? Jeśli idzie o życzenia naszych synów, prawnuków, lub potomków za lat wiele, to nic nie mam przeciwko temu, ażeby oni posiadali prawo utrzymywania własnej floty w Kielu lub Marsylii; tylko niech nikt nie prawi, że my dziś żyjący o tem marzyć i do tego dążyć możemy. Co w łonie dalekiej przyszłości się kryje, do jakiej wyżyny siły społeczeństwa polskiego sięgną — nie wiemy: może jeden ich kraniec oprze się w Rio de Janeiro, a drugi w Christianii. Nam tylko roztrząsać wolno możliwości obecne lub z obecnej chwili dostrzegalne.

Właściwie kto podkręca skrzypce do wygrywania wysokich tonów? Społeczeństwo? Nie, gromadka dziennikarzów, którzy po cichu szepczą bardzo skromnie, a głośno śpiewają bardzo zuchwale. Ochrypliby z zapału, gdyby się spełniła część tych pragnień, które dziś wydają im się niedociągnięte do należytej miary. Społeczeństwo zaś pracuje, wykuwa drobne korzyści z kamienia, osłania swe rodzime skarby, powiększa je dorobkiem i o nadzwyczajnościach marzy tylko wówczas, gdy mu jakaś dziennikarska cyganka cudowne rzeczy z ręki wróży. Jeżeli heroldowie wielkiej polityki sądzą, że w swych artykułach wytrębują uczucia i myśli ogółu, niech pójdą do naszego chłopa, ziemianina, rzemieślnika, kramarza, niech w sercach tych ludzi poszukają akompaniamentu dla swych hejnałów. Znajdą tam tylko skromne życzenia, ograniczone możnością życia, niepogwałconego w swych naturalnych prawach. Zresztą, po co to badanie? Czem najwięksi (najsztuczniejsi) szowiniści nasi odpierają wrogie zamachy dziennikow obcych na szczerość pokojowych dążeń polskich? Uroczystem zapewnieniem, że — nas zajmuje tylko praca wewnętrzna. Gdzież więc prawda, czy w sygnałach wielkiej polityki, czy w owych przysięgach.

Rozwiązanie znajdziemy w zasadniczej niekonsekwencyi frazeologicznego politykowania. Ci, którzy twierdzą, że godłem naszego życia w obecnej dobie winien być rozwój czynników cywilizacyi rodzimej i na przyspieszenie tego rozwoju wpływają, są z sobą w zgodzie. Ale ci, którzy krzyczą, że trzeba pójść dalej i tylko skrzypią piórem, doprawdy winniby głębiej zastanowić się nad ustawiczną kłótnią swych słów z czynami. Rozumieliśmy polityków z przed 20 lat: w co wierzyli, to robili, wyznawali *liberum conspiro* i wprowadzali je w życie. Wpadli w błędy, ale ustrzegali się niekonsekwencyi. Tymczasem co warci ich epigonowie, wielcy bohaterzy, którzy załatwiwszy meldunki policyjne, staczają w swych gabinetach na papierze bitwy, zwyciężają armię i układają sobie z Europy łamigłówkę? Jeżeli są szczerymi zwolennikami przewrotów, niechże coś przewrócą. Uszanujemy ich nawet w upadku za to, że nie igrali słowem. Ale dopóki rozbijają świat papierowymi piorunami, niechże się nie dziwią, że wobec potęgi takich Jowiszów, jeżeli świat się trzęsie, to tylko od śmiechu. My radzimy zmuszonym odbywać podróże morskie: nauczcie się pływać, weźcie pasy ratunkowe; wy krzyczycie, że to nic nie pomoże, gdy statek się rozbije i zatonie, że trzeba mieć własny okręt z niemożliwym do przebicia pancerzem. Cudownie—tylko zacznijcie go budować — do czynu! Albo... albo... Albo nasze rady są słuszne, albo wasze wymagania. Jeżeli ostatnie — bądźcież konsekwentni i zamiast nieszkodliwego pióra, chwyćcie pałasz lub karabin.

Byłoby to rzeczą dziwną, gdyby w naszym chaosie pojęć nie było naturalną, że politycy wielkiego dzwonu wiodą ów bój, płacząc w jego przerwach nad grobem „nieodżałowanego patryoty“ — Józefa Szujskiego, tego samego Szujskiego, który ów dzwon najzawzięciej rozbijał, który zatykał społeczeństwu najradykalniejsze drogowskazy polityczne. Można się na śmierć zaśmiać z tej logiki. Ułóżmy wniosek:

Szujski widział zgubę kraju w *liberum conspiro*, a jedyne ocalenie w pracy wewnętrznej!

A więc był „wielkim patryotą.“

My widzimy tamże zgubę i tamże ocalenie.

Więc nie jesteśmy patryotami.

Szanowni mędrcy polityczni trzeba się zdecydować: albo... albo... Albo Szujski radził rozumnie i wszyscy, którzy go naśladują, radzą rozumnie, albo był odstępcą i wtedy zagaście swoje świeczki, zapalone „wielkiemu patryocie.“ Niedawno *Kuryer Warszawski* po swojemu przygryzł postępowcom warszawskim, że jako nowe hasło głosili to, co przed nimi wypowiedział Szujski; w kilka dni tenże sam *Kuryer*, nie przerywając swego nekrologicznego płaczu, łży owych postępowców, że hasło to powtarzają. Jak nazwać tę pajęczą siatkę utkaną z lekkomyślności? Ani społecznych, ani religijnych zasad Szujskiego nie podzielamy; ale polityczne w znacznej części, i to to właśnie polityczne jego czciciele za grzech nam poczytują. Klucz do tej zagadki tkwi chyba w przypuszczeniu, że nie wiedzą wcale, co pisał.

A zatem szanowni przeciwnicy nasi musicie się zdecydować i uporządkować bezład swych mniemań, jeżeli one mają stanowić systemat, a nie być sznurem sztucznie związanych wykrzyków, w których chęć dogodzenia osobistej nienawiści pożera ciągle logikę. Słowo publiczne wtedy tylko wywiera wpływ i pobudza społeczeństwo do posuwania się w pewnym kierunku, gdy samo ciągle w jednym się zwraca. Dziś pozostają nam tylko dwie drogi: albo prząść dalej tradycyę przerwaną przed 20 laty, albo ratować się pracą wewnętrzną, potęgowaniem i mnożeniem

---

obficie zarastały w chwasti zielsko i w których odpoczywali nieboszczycy, nieopłakiwani już i niewspominani przez nikogo. Jak prędko zaś zostaje się zapomnianym w Paryżu! Jak mało czasu potrzeba, ażeby ocean stolicy świata pochłonął nietylko jednego człowieka, lecz całą jego rodzinę, wszystkich przyjaciół i znajomych, a nawet samą pamięć o nim! Rudolf poczuł dreszcz zimny na samą myśl o życiu i śmierci cudzoziemców w Paryżu.

Posuwając się tak bez celu za unoszącą go falą ludu, stanął wśród wąskiej, bocznej ścieżyny, przed mogiłą, którą szczególnie gęsty otaczał tłum. Wokoło zatoczyło się kilka szeregów ludzi, po większej części robotnicy z żonami; ci, co stali dalej wychylali głowy po nad ramiona swych sąsiadów, a nowoprzybyli z pewną niecierpliwością naciskali na tych, którzy przed nimi zajęli miejsce i obecnie, niby przez dziwne jakieś zjawisko zatrzymani, stali nieporuszeni i nie myśleli pójść dalej. A pomiędzy całą tą grupą nieruchomą takie panowało namaszczenie, taka powaga uroczysta, jakie nie często pomiędzy wiernymi zdarzają się w kościele. Rudolf zaciekawiony przecisnął się aż do pierwszego szeregu żywego owego szańca — i stanął — u pomnika Baudina, owego trybuna republikańskiego, który 3 grudnia 1851 r. zastrzelony został na ulicach Paryża przez pijanych żołnierzy w chwili, gdy, opasany szarfą trójkolorową członka ciała prawodawczego, z wysokości barykady przemawiał przeciwko zamachowi stanu Bonapartego. Do śmierci owego bohatera przywiązaną jest pewna, dobrze znana anegdota. Kiedy otoczony garstką towarzyszów zabierał się wejść na barykadę, zawołało doń ironicznie kilku przechodzących robotników: „Oto dwudziestopięciofrankowy!“ Tem mianem pogardliwem systematycznie przeciwko Zgromadzeniu narodowemu podburzani proletaryusze oznaczali reprezentantów, którzy otrzymywali po 25 franków dziennie. Baudin odrzekł spokojnie: „Zaraz zobaczycie, jak się umiera za dwadzieścia pięć franków!“ I za chwilę padł przeszyty kulami żołnierzy.

Na widok pomnika tego Rudolf uczuł się silnie wzruszonym. Na czworograniastem podmurowaniu z kamienia rozciągniętą jest naturalnej wielkości bronzowa postać Baudina, który, aż po pierś udrapowany płaszczem, lewą rękę opuszcza bezwładnie, podczas gdy prawą obejmuje konwulsyjnie symboliczną tablicę praw z napisem *La loi*. Głowa Baudina przedstawia człowieka lat średnich, o rysach niewiele mówiących, o wargach i podbródku gładko wygolonych i powszednich faworytach. Codzienną jednak twarz tę czyni wielką i heroiczną przerażający otwór w czole, przez który trysnęła krew i mózg. O, jakże taki otwór w czole wyżłobiony przez kulę, uświetnia męskie oblicze! Z tragicznej tej rany zdaje się bić światło nadziemskie, w które bez łez w oku spojrzeć nie można.

Na Rudolfie ów pomnik, niewypowiedzianie patetyczny, daleko silniejsze wywierał wrażenie, aniżeli na wszystkich innych, którzy go w skupieniu otaczali. Przyszło mu bowiem na myśl, jak mało brakowało, ażeby go spotkał ten sam los, co tego, przed którego posąg zabłądził niespodzianie. I skierowawszy się ku wrotom cmentarym, przypomniał sobie ową noc straszliwą z trzeciego na czwartego grudnia 1851 r., kiedy broczył we krwi własnej i bez przytomności leżał na wilgotnym bruku rue Montmartre, z kulą utkwioną w prawem biodrze. Wspomnienie chwili owej tak w nim było żywem, że niejako na nowo uczuwał ból w biodrze i począł chwiać się tak samo, jak to zwykł był czynić przez wiele miesięcy po otrzymaniu rany. W szerokiej alei, prowadzącej do głównego wejścia, spostrzegł obrazy, które utrwaliły w nim jeszcze wspomnienie o zamachu stanu, wywołane w duszy jego mogiłą Baudina. Z boku widział pomnik Cavaignaca, w środku wielki wspólny grób, w który bezładnie wrzucono wszystkie bezimienne ofiary walk ulicznych. Krwawy ten kawał ziemi otacza okrągły zagon kwiatowy, w pośrodku którego na płaskiem, kamieniami pokrytem wzniesieniu sterczy prosty krzyż żelazny. Rudolf wszedł w krąg ten ponury i stanął u krzyża. Szczególne jakieś nim owładło uczucie. Zdawało mu się, że stoi wewnątrz jakiejś linii kabalistycznej, przedzielającej go od świata i życia. W tym obrębie zaczarowanym powietrze zdało mu się mroźniejszem, niż gdzieindziej. Słyszał jakby szarpanie i drżenie w głębi ziemi pod swojemi stopami, niby poruszali się umarli i kościstymi palcami grzebali u stropu ciasnego schronienia swojego.

— Tu leżałbym dziś także razem z innymi, gdyby kula wtedy nieco inaczej tylko była mnie ugodziła — pomyślał i ode-

czynników cywilizacyjnych, czujną ochroną pierwiastków swojskich, staraniem, aby nietylko być, ale być narodem umysłowo rozwiniętym, moralnie uszlachetnionym, materyalnie zamożnym. Ta ostatnia właśnie droga jest naszą.

A. S.

O SZKOŁACH ROLNICZYCH.

Zarząd Towarzystwa rolniczo-przemysłowego w Gostyniu otrzymał przed dwoma miesiącami bezimienny rękopis, zawierający projekt reorganizacyi szkół rolniczych w Poznańskiem i Galicyi. Walne zebranie w Gostyniu dnia 14 grudnia r. z. przyjęło pracę tę z największem uznaniem, uchwaliwszy na własny koszt ją wydrukować i wszystkim członkom towarzystw filialnych rolniczych w Poznańskiem rozesłać, jako też wnieść do Centralnego Zarządu Towarzystwa, ażeby ten niezwłocznie się zajął urzeczywistnieniem projektu autora.

Poznajmy bliżej treść broszury.

Projektodawca, zastanawiając się w niej nad dawniejszemi szkołami rolniczemi (Marymont, Żabików) a głównie nad jedyną dzisiaj za kordonem istniejącą szkołą dublańską, przychodzi do wniosku, że jak wszystkie tego rodzaju zakłady wogóle, tak też i instytut dublański w szczególności — powołaniu swemu odpowiedzieć i potrzeb kraju zaspokoić nie mogą. Główna przyczyna niemocy spoczywa w *małym zasobie wiedzy teoretycznej*, lekarstwem zaś na tę chorobę byłoby, według autora, *przeniesienie* szkoły dublańskiej do jednego z uniwersyteckich miast Galicyi i połączenie specyalnych wykładów agronomii pod egidą katedr profesorskich wszechnicy.

Aby ocenić całą skuteczność podobnej rady, przypatrzmy się wraz z autorem, jakiego zakresu wiedzy wymagać należy od ukształconego rolnika. Okazuje się, iż oprócz znajomości nauk czysto-przyrodniczych powinien on, ze względu na swoje przyszłe obowiązki, poznać mniej lub więcej gruntownie: technologię, mechanikę, ekonomię polityczną, kupiectwo i—dodałbym od siebie — główne przynajmniej zarysy prawa cywilnego. Rzecz prosta, że szkoła prowincyonalna nigdy nie zdoła skupić w sobie takiego zastępu uczonych profesorów, którzyby w zupełności wymaganiom powyższym mógł odpowiedzieć. Ale idźmy dalej. Większa część z wymienionych tutaj nauk wtedy tylko pożądane wyda owoce, gdy po za odnośną katedrą znajdą się odpowiednie zbiory, laboratoria, gabinety i biblioteka, tj. cały szereg takich właśnie instytucyi, o jakich żadna szkoła prowincyonalna nie da nawet należytego wyobrażenia. Oparłszy krytykę na tych ogólnych wywodach rozumowych, autor poglądy swoje ilustruje przykładem prowincyonalnych szkół niemieckich, które wlokąc coraz to nędzniejszy żywot, albo upadły, albo znalazły dla siebie ocalenie tylko w zlaniu się z jakimś uniwersytetem.

Przejdźmy teraz do wykazania paru jeszcze punktów, które już *bezpośrednio* na korzyść projektu przemawiają.

Przedewszystkiem od urzeczywistnienia jego spodziewaćby się należało znakomitego *zmniejszenia kosztów* utrzymania szkoły. Wykłady wszystkich niemal przedmiotów, w zakres agronomii racyonalnej wchodzących, znalazłyby dla siebie z łatwością miejsce na istniejących już w uniwersytecie katedrach. Program pierwszych dwóch kursów obejmuje zwykle część *ogólną* całości; co zaś do nauk specyalnych, stanowiących przedmiot studyów wyższych, to i tutaj agronomowie ani trochę nie krępowaliby *właściwych* przyrodników. Ci ostatni bowiem na wyższych dwóch kursach dzielą się zwykle na rozmaite grupy, z których każda pewną ściślej już oznaczoną obiera sobie specyalność: jedną więc z takich grup mogliby stanowić młodzi rolnicy. W niektórych gałęziach (np. w fizyologii roślin) agronomowie musieliby szczególnie uwzględniać pewne działy (asymilacya), ale najprzód kraj rolniczy nic by na tem nie stracił, gdyby gałęzie takie stały się przedmiotem największej ilości badań teoretycznych, a potem niema znów takiej części fizyologii roślin, na którąby rolnik nie musiał większej lub mniejszej zwrócić uwagi.

Z drugiej strony gruntownie wykształceni rolnicy nietylko zużytkują później swoją wiedzę teoretyczną, ale nadto wyświetlą przyczyny wszelkich owych pozornych sprzeczności teoryi z praktyką i w ten sposób podtrzymują kredyt nauki, podkopany wśród mas gospodarzy przez niedouczonych agronomów.

Przewiduję powszechny niemal zarzut przeciwko bronionemu tutaj projektowi wymierzony. „W jaki sposób— powie niejeden — pogodzić można przeniesienie szkół rolniczych do wielkiego miasta ze stroną *praktyczną* studyów, która przecie tylko w *fermach wzorowych* przy szkołach prowincyonalnych należycie rozwinąć się może.“

Zarzut taki upadnie jednakże, gdy się zaznajomimy z poglądem projektodawcy na stosunek wzajemny praktyki i teoryi rrlnictwa.

Według jego zdania kandydaci do zakładów rolniczych powinni najprzód kończyć wyższą szkołę realną, a następnie przez dwa lata trudnić się *praktyką* gospodarczą wjakimś wzorowo prowadzonym folwarku. Innemi słowy: praktyka powinna tutaj w pewnej mierze poprzedzić teoryę. Spółczesne uprawianie teoryi i praktyki jest niemożliwem: albo jedna, albo druga na tem ucierpi. Zresztą małe fermy wzorowe, o ile tego wymagać będzie nieodzowna potrzeba demonstracyj naukowych, mogą być zakładane w pobliżu miast tak samo, jak np. utrzymują się tam ogrody botaniczne, zwierzyńce itp. Nakoniec zauważę tutaj wraz z autorem projektu, iż pomysły istniejące przy szkołach rolniczych, mając na celu głównie sprawdzenie wywodów teoretycznych, nie mogą odpowiedzieć jednemu z najgłówniejszych wymagań wzorowego gospodarstwa: osiągnięcia z roli możliwie wielkich zysków.

Tym sposobem ukształcenie agronomiczne rozkłada autor na lat sześć. Trzeba się z tem pogodzić: wszak i medycyna nie o wiele mniej czasu wymaga od swoich adeptów.

---

tchnął głęboko, Obejrzał się. U stóp krzyża nagromadzony był cały stos wieńców i bukietów, a kilka kobiet klęczało na płytach kamiennych i ciche szeptało modlitwy.

— I po dwudziestu siedmiu latach są jeszcze osieroceni, co o tych zmarłych pamiętają. Gdyby mnie tu byli wrzucili, do mnie by nie przyszedł nikt.

Stał obok jednej z kobiet klęczących. na którą spoglądał okiem pełnym współczucia. Ubrana była czarno, z głowy jej zwieszał się woal czarny i zdawała się cała pogrążona w swej modlitwie. Gdy poczuła, że ktoś patrzy na nią, pomimowoli obejrzała się. Oczy ich spotkały się. Pochyliła się i wydała okrzyk stłumiony, który wydobywał się jakby z gardła ściśniętego. Bezwiednie wyciągnęła ku niemu ramiona, a podczas gdy na pół przymykały się jej oczy i zdawała się odchodzić od zmysłów, blednące jej usta wymawiały:

— Rudolfie! Rudolfie!

Usłyszawszy wykrzyk pierwszy, zdumiony i zmieszany cofnął się o kilka kroków, potem zaś pochwycił omdlewającą w swe objęcia, przyciągnął ją do piersi i szepnął:

— Paulino! Czyż podobna? Paulino!

Zerwała się uradowana, kolana jej drżały, oparła się o niego obiema rękami, a wpatrując się weń badawczo z głową wtył odrzuconą i szeroko rozwartemi oczyma, rzekła:

— Tyżeś to rzeczywiście! Tyżeś to Rudolfie! Ty żyjesz jeszcze?

— Miałaś mnie więc za umarłego — zapytał głosem niepewnym i spuścił głowę.

— Myślałem, że jesteś tu w dole—odpowiedziała, wskazując palcem na płyty kamienne i swych stóp.

— A przyszłaś dziś...

— Do ciebie, Rudolfie, dziś, jak co rok od lat dwudziestu siedmiu. Widzisz, oto jest wianek, który tu złożyłam dla ciebie. A gdymcię nagle ujrzała przed sobą — dodała cicho po krótkiej pauzie — sądziłam, żeś wyszedł z grobu, żeby raz jeszcze zobaczyć się ze mną.

Umilkła znów na chwilę, podczas której wciąż trwożliwie pieściła go wzrokiem.

— A czy wiesz, co mi odrazu dało pewność, że nie duch stoi przedemną? — że już nie wyglądasz, jak wtedy, gdybyś tu istotnie był pochowany? Umarli nie starzeją się; a ty, biedny mój Rudolfie, zmieniłeś się bardzo.

— Więc uważasz, że bardzo jestem zmieniony?

Długo patrzyła na niego. Oko jej zwolna przesuwało się po jego postaci, po jego rysach, a potem wymówiła jakby do siebie:

— Właściwie nie, Rudolfie, właściwie nie bardzo.

Pewnie jedyną była istotą na ziemi, co tak mówić mogła; była jedyną osobą, która w obliczu jego widziała twarz dwudziestotrzyletniego młodzieńca. Dla niej, w miejscu krótko przystrzyżonych, nielicznych i posiwiałych włosów na głowie jego, wciąż jak dawniej jeszcze powiewały bujne blond pukle; krzaczasty wąs zdawał się cieniutkim i fryzowanym, więdnąca skóra świeżą i gładką, a postać owa nieco smukłą i giętką; na stojącego przed nią pięćdziesięcioletniego mężczyznę rys po rysie przenosiła obraz żyjący w wiernej jej pamięci, obraz promienniejszy i piękniejszy, aniżeli był kiedyś w rzeczywistości. I on na nią spoglądał nie inaczej. Fantazya jego wygładziła zmarszczki delikatne, które zaległy w około oczu jej i ust, użyczyła zakwefionemu, czarnemu jej oku blasku i swawoli młodości. rozwinęła z mięsistych nieco konturów owe linie powabne policzków, podbródka, szyi, biustu, które kiedyś pokochał, poznał krucze warkocze, co same jedne tylko nie straciły nic ze swej piękności, i widział w przekwitłej kobiecie świeże dziewczę, opromienione urokiem lat dziewiętnastu, opuszczone przed dwudziestu siedmiu.

Gdy przeminęło pierwsze wzruszenie, głos jej odzyskał dźwięk swój naturalny i jeszcze tylko drżał nieznacznie, kiedy go spytała:

— Ależ dla Boga, opowiedz mi, jak się to wszytko stało? Przecież nasz oddźwierny sam widział, jak poległeś na ulicy i jak cię uprzątnięto.

— Dobrze widział.

— Więc cię nie zabito?

— Zraniono tylko.

— A potem?

(D. n.)

Dla wzmocnienia zresztą części praktycznej studyów młodzi agronomowie powinni byliby w sposób odpowiedni używać czasu wakacyjnego. Metodę taką przyjęły oddawna wszystkie zakłady inżenierskie, których wychowańcy, podczas wakacyj, pełnią np. na kolejach służbę maszynistów, pomocników, a nawet palaczy.

Streściwszy poglądy autora i wykazawszy wraz z nim dodatnie ich strony, zwrócę teraz uwagę czytelnika na parę ciemniejszych punktów obrazu.

Najprzód przeniesienie szkół rolniczych do miast uniwersyteckich zwiększy koszt utrzymania studentów i w ten sposób utrudni dostęp do nauki synom mniej zamożnych rodziców. Powtóre ta cząstka odważnych biedaków, która o własnych siłach rozpocznie walkę z niedostatkiem, wpłynąć będzie musiała na powiększenie inteligentnego proletaryatu miast — proletaryatu akademików.

Jeżeli opinia prasy w kwestyi rozbieranego tutaj projektu zostanie we właściwym czasie uwzględniona, to uwagi powyższe skłonią kogo należy do wyboru *tańszego* z dwóch miast galicyjskich, oraz do zaopatrzenia przyszłych pracowników w możliwie wielką ilość stypendyów i zapomóg. Lepiej jest zawczasu przygotować się do walki należycie, niż stanąć w połowie drogi.

J. K. Potocki.

SIEDMIOLECIE SZKOŁY GŁÓWNEJ

(wydział prawa i administracyi).

Siedmiolecie, zaznaczone przez p. Kraushara w świeżo wydanej pracy *), stanowi głęboki przełom w dziejach naszej umysłowości. Szereg ważnych wypadków tej doby przebudził kraj z długiego uśpienia, wywołał ruch wszechstronny w umysłach i przełamał dawniejszą zaściankowość w traktowaniu wiedzy. Wprawdzie z epoką tą nie nastały dla nas czasy wyższego rozkwitu nauki i liczny zastęp uczonych nie zapisał się na kartach literatury. W każdym jednak razie nowsze teorye zyskały śród nas prawo obywatelstwa i znalazły, jeżeli nie gruntownych badaczów, którzyby wzbogacili je samodzielnemi pracami, to zdolnych i sumiennych uprawiaczów, którzy zaznajomili szerokie koła inteligencyi z najnowszymi wynikami wiedzy powszechnej. Z drugiej strony uległ zmianie pogląd na zadania i kierunek pracy społecznej, na jej sposoby i środki.

W rzędzie przyczyn, które ten przełom wywołały, siedmioletnie istnienie Szkoły Głównej Warszawskiej niepoślednie zajmuje miejsce. Dlatego też przyszły dziejopis oświaty naszej w XIX stuleciu obowiązany będzie poddać ją wszechstronnemu i gruntownemu zbadaniu, oraz wykazać stanowisko, jakie najwyższa ta instytucya naukowa zajmowała wobec europejskiej nauki i społeczeństwa, dla którego przygotowywać miała umysłowe siły. Myśl podobnego opracowania historyi Szkoły Głównej podjęli już jej wychowańcy, postanowiwszy, z powodu śmierci rektora Mianowskiego (1879) uczcić swą *almam matrem* zbiorową o niej pracą.

Ogólną tę monografię Szkoły Głównej uprzedził p. Kraushar swoją rozprawą, dotyczącą jednego z jej wydziałów — prawa i administracyi. Korzystając jednak ze sposobności, skreślił autor na wstępie krótki rys szkół prawa w Polsce. Tym sposobem książka jego rozpada się na dwie części, z których pierwsza obejmuje dzieje szkół prawnych od założenia wszechnicy krakowskiej, druga — siedmiolecie Szkoły Głównej.

Natura przedmiotu spowodowała, że opracowanie obu części znacznie między sobą się różni. W pierwszej znajdujemy treściwy i systematyczny opis instytucyj naukowych, w których młodzież polska wiedzę prawną czerpała, oparty na pracach dawniejszych, jak: Łukaszewicza, Balińskiego, Maciejowskiego, na materyałach urzędowych a co do czasów późniejszych i na wspomnieniach żyjących jeszcze wychowańców szkół opisywanych. Część druga nosi na sobie więcej charakter wspomnień osobistych autora, czerpanych przeważnie z pamięci, w których systematyczność przedstawienia rzeczy ustąpić musi tu i owdzie biegowi historycznemu wydarzeń, odciągających od czasu do czasu myśl piszącego od głównego przedmiotu. Spotykamy tu więc fakty, niedotyczące wcale wydziału prawa i administracyi Szkoły Głównej a zamieszczone dlatego jedynie, że autor brał w nich udział jako student. Tu zaliczam stosunkowo dość obszerny wywód o kursach przygotowawczych i charakterystykę osób tam wykładających, mowę rektora Mianowskiego przy otwarciu Szkoły Głównej i ustęp o posiedzeniu studentów w teatrze anatomicznym.

Część pierwsza zawiera wiadomości o wykładach prawa na wszechnicy krakowskiej, akademii wileńskiej i zamojskiej dalej o usiłowaniach ministra Łubieńskiego ku założeniu szkoły prawa i administracyi w Warszawie oraz o trudnościach, z jakiemi przy jej wprowadzeniu w życie walczyć musiał fundator wobec uprzedzeń osób, sterujących sprawami Księstwa Warszawskiego. Obszerniej zastanawia się pan K. nad wydziałem prawnym w uniwersytecie Aleksandryjskim, charakteryzując w krótkości profesorów oraz plan nauk. Ciekawy jest obraz szkół prawnych po roku 1830, a mianowicie wykładów w klasie 8-ej gimnazyów i na kursach prawnych. Maluje on dosadnie ówczesny duch władz kierujących oświatą i pogląd na naukę oraz jej zadanie.

W drugiej, po zaznaczeniu okoliczności, wśród których powołana sostała do życia Szkoła Główna, przedstawił autor stopniowy rozwój wydziału prawa i administracyi koleją lat jego istnienia. W każdym roku podaje plan nauk oraz charakteryzuje wykładających. Charakterystyce tej bezwątpienia możnaby wiele mieć do zarzucenia. Jest ona w wielu razach zbyt optymistyczna, a co najważniejsza, zanadto pobieżna, pomimo że autor, jako słuchacz od pierwszego roku istnienia Szkoły, mógł był obszerniej nieco i gruntowniej opracować wykłady profesorów, ich kierunek, zakres, wpływ na słuchaczów itp. Wogóle można powiedzieć, że p. K. w swym zarysie dotknął raczej zewnętrznej strony wykładów prawa, ich formy, niż istotnej treści.

W końcu książki, mówiąc o stosunku profesorów do studentów i o wpływie, jaki siedmiolecie Szkoły Głównej wywarło na ruch w dziedzinie prawa i działalność późniejszą jej wychowańców, p. K. śmielej zaznaczył swój pogląd. Zdanie jego w tym względzie, niestety, aż nadto słuszne, nie wypadło na korzyść instytucyi, jeżeli ją po jej dziełach oceniać mamy. Zaznacza autor, że podczas gdy w innych gałęziach wiedzy wpływ wyższego zakładu naukowego w kraju wyraźnie się uwydatnił, jedno prawnictwo pozostało w tyle. Narodziły się wprawdzie pisma prawne (*Przegląd sądowy*, *Gazeta sądowa*, *Biblioteka umiejętności prawnych*), lecz te nie znajdują należytego poparcia ani przez czynny w nich udział b. wychowańców Szkoły Głównej, ani nawet przez prenumeratę; istnieją tylko wysiłkami nielicznych jednostek. Ten kierunek wrogi dla nauki prawa spostrzega p. K. i w b. profesorach Szkoły Głównej, których prace coraz to rzadziej się ukazują. Jako ilustracya wpływu tej instytucyi na teoryę prawa posłużyć może zamieszczony na końcu książki spis alfabetyczny magistrów prawa i administracyi z oznaczeniem ich prac drukowanych. Na 300 przeszło nazwisk spotykamy wzmianki o pracach drukowanych przy 47 osobach, a i te dotyczą prawie wyłącznie pojedynczych drobnych rozprawek, pisanych dla uzyskania stopnia magistra.

Wogóle książka p. Kraushara przedstawia się dobrze. Napisana żywo i dobrym językiem czyta się z przyjemnością, a choć nie sięga głęboko i nie daje należytego obrazu wykładów prawa w Szkole Głównej, stanowi jednak ważny przyczynek do dziejów naszej oświaty i miłą pamiątkę dla współkolegów autora.

K. Dunin.

*) *Siedmiolecie Szkoły Głównej Warszawskiej* 1862 do 1869—wydział prawa i administracyi. Notatki do historyi szkół prawa w Polsce. Kraków—Warszawa, 1883, str. 279.

Z FRANCYI.

Paryż, d. 25 lutego.

Czem jest Francya? — Męki odkupienia. — Korzyść z pretendentów. — Kryzys. — Kto winien? Metafizyczny demokratyzm. — Dawniej i dziś. — Konstytuanta i Konwencya. — Wszechwładztwo gminy. — Potrzeba nowych zasad. — W chwili niebezpieczeństwa. — Nowe ministeryum. — Po śmierci Gambetty. — Nauka zbawczą.

Biedna Francya! Codzień niemal z większem odczuciem powtarzać trzeba ten okrzyk i powracać do nierozstrzygniętego pytania: kiedy się to wszystko skończy?

Niech co chcą piszczą nietoperze ze wszystkich przybytków ciemności i pleśni, Francya zawsze jest głównem ogniskiem wszechświatowej cywilizacyi, Paryż—sercem Europy. Zedrzyjmy tylko zewnętrzną powłokę z bieżących wypadków, a zobaczymy, że pod różnemi zmiennemi formami kryje się zawsze walka nowowschodzącego życia z niezupełnie odtajałą skorupą niknącego lodu. Poród trudny, to też każdemu, co z gorącą sympatyą czeka chwili, mającej zdecydować o losach matki i dziecka, nieraz trwożnie zabije serce z obawy, czy w tych kurczach życie nie zgaśnie. Bóle, co dziś szarpią łono przodującego narodu, utorują drogę innym, oszczędzą wielu chwil ciężkich.

W całej gmatwaninie pierwiastków narodowego życia niema jednego, któregoby tu nie przetwarzano już z *gruntu* w imię nowych zasad. Wielki ciężar zawodów, nieodstępnych towarzyszy wcielania się fantazyi teoretyków, znosi dziś Francya za całą ludzkość niemal.

W słowach moich niema przesady. Lista piekących, wołających o rozwiązanie zagadnień jest tak wielką, jak liczba przejawów politycznego życia. Zaczynając od praw zasadniczych konstytucyi, a kończąc na uregulowaniu bytu wyrobnika; od stosunków z kościołem, do urządzenia gminy; od sądownictwa, do administracyi — wszystko wymaga, nie jak gdzieindziej, chwilowej poprawki, ale nastrojenia do ogólnego tonu zmienionych warunków, podstawowej reformy w imię jednej myśli. Tu trzeba wzmocnić nie pojedyncze organa, ale przetworzyć ogół. Tu wszystko się spaja, łączy w całość nierozerwalną. Trącić punkt jeden, w tej chwili wszystkie drgać zaczynają.

Manifest księcia Hieronima wywołał sprawę pretendentów, a ta się skończyła przesileniem ekonomicznem. Jeszcze go nie słychać po zagranicami Francyi, wewnątrz też wielu stara się nie dostrzegać groźnego widma, ono jednak stoi nie u drzwi już, lecz nawet przestąpiło próg.

Kilka dni temu około 15 tysięcy mularzów, kamieniarzów, cieśli, słowem robotników budowlanych, było bez chleba. Ten sam los dotknie natychmiast naturalnie stolarzów, robiących drzwi, okna, meble, potem ślusarzów itd., odczują to restauratorzy, szynkarze. Nie jest to chwilowe bezrobocie, gdzie za dni kilka zdwojona działalność powetuje straty, to tylko początek gorszego ciągu dalszego. Groźba bankierów co do zniżki nie była jedynie zapowiedzią, czyn poprzedził nawet słowo. Niepewność położenia, obawa zaburzeń wywołała natychmiastowe wycofywanie się kapitałów z przedsiębiorstw. Stosunki zagraniczne od lat kilku już nieszczególne, wskutek ciągłej chwiejności politycznego stanu doszły do zupełnego prawie zera. Podczas bezrobocia na przedmieściu St. Antonin dowiedzieliśmy się, że najbardziej niegdyś kwitnąca fabrykacya mebli dziś konkurencyi z zagranicą wytrzymać nie może.

Bank francuski odmówił dyskontowania weksli Izby syndykalnej przedsiębiorców budowlanych, pomimo poręczenia zwykłego trzech bankierów. Fakt to oddawna niesłychany.

Zastój dzisiejszy zwraca na siebie uwagę rozmiarami jedynie, gdyż nowością wcale nie jest. Słabe wstrząśnienia w ekonomicznem życiu czuć się dawały przy każdem zajściu politycznem, przy padaniu ministeryów, przy starciach Izby z senatem, przy odrzucaniu propozycyj prawodawczych projektów, ciągle. Koślawy bieg spraw w najfatalniejszy sposób drażni umysły, czujące konieczność jakiegoś wyjścia i niemogące go dopatrzeć w bliskiej przyszłości.

Garść drapieżników, grożąca wiecznemi pretensyami do panowania, wraz z sutanianą czeredą i miłośnikami poddaństwa nie mogłaby do tego stopnia kłócić myśli publicznej, ciągle i stanowczo oświadczającej się za respubliką. Szukać we wszystkiem trzeba innej, poważniejszej myśli. Może, nawet zapewne, jest ich wiele. Głos powszechny wskazuje głównie jedną: rozdział w łonie stronnictw republikańskich. Jest to jednak tylko skonstatowanie faktu, bliższego wprawdzie przyczyny, ale nie wskazanie jej samej.

Dosyć pilnie przypatrywałem się wszelkim objawom nienormalności stosunków, i zdaje mi się, że główne złe tkwi w braku formuł, punktów wytycznych, odpowiednich dla nowej ery.

Do władzy, do steru rządu przyszła dziś we Francyi demokracya *) i przyniosła z sobą hasła z epoki wojny z arystokracyą i wolą bożą. Hasła te z natury rzeczy były przeczące i do warunków organicznego okresu nadawać się nie mogą. Powtóre, rewolucyjne żądania w polityce są rówieśnikami metafizycznych pomysłów w nauce; jedne wspierały drugie w walce z teologią i kościołem. Dziś też okrzyki, w imię których i na podstawie których mają reformować Francyę, tchną dziwnie romantycznym sentymentalizmem dawnych lat i odznaczają się istotną nicością.

Dziś we Francyi ogół jest rządem, istota władzy stała się czem innem, trzeba się więc inaczej względem niej postawić. Dawniej wygórowana antonomia gminy, wioszczyny każdej byłaby tylko mniejszem złem; dzisiaj urzeczywistniona szkodę by tylko przyniosła. Potrzeby każdego jakiegoś sabaudczyka lub burgunda, jako członka gminy, są drugorzędne wobec potrzeb jego jako mieszkańca Francyi. Zbyt jego produktów, przywóz najpotrzebniejszych do codziennego życia przedmiotów zależy od dróg komunikacyjnych całego kraju, od stosunków z zagranicą, od urządzoń kolonialnych, od spokoju całego kraju, od marynarki itd. Nietylko więc słusznem, ale i koniecznem jest podporządkowanie mniejszych interesów gminy pod ważniejsze interesy narodu. Pomimo całej niedorzeczności takiej wiary, dotąd znaczna część opinii publicznej uważa rząd przez siebie stworzony za nieprzyjaciela mało co lepszego, od prusaków. Stare to przyzwyczajenie, to też mocno zakorzenione. Co gorsza, że wiele jest przyczyn, sprzyjających dalszej hodowli tych metafizycznych potworków. Ludności, miejskiej szczególnie, zostały pewne święte wspomnienia z dawnych czasów i każde trącenie w nie wywołuje natychmiast silny oddźwięk. Wyzyskują to wszyscy myśliwi na tanią popularność. Każdy pismak tuzinkowy, każdy deputowany, radca miejski itd. wabi sobie prenumeratorów i kreski wykrzykiwaniem haseł, które pozostały jedynie marnym dźwiękiem. Widzieć często można np. łzy gorzkie, przelewane nad uciskiem Rady municypalnej przez władze państwowe, innemi słowy — przez Izbę. Nikt ani zauważy, że tak jedni jak i drudzy są przez nich samych wybrani, że władze samorządu małego nie mają racyi być bardziej drogimi Benjaminkami dla miłującego wolność serca, niż władze dużego samorządu, że od nich samych zależało deputowanych posłać do Rady, a radców do Izby.

Koranem dla radykalnych autonomistów są postanowienia Zgromadzenia Narodowego wielkiej Rewolucyi, które za jedyną wskazówkę mieć mogło ujemne strony królewskich czasów. Historya niejednokrotnie już zwracała uwagę, że wszystko, co dobrego zrobiła Konwencya przez doskonały zarząd administracyjny kraju, było skutkiem gwałcenia ustaw Zgromadzenia, które w zasadzie uznała. Pozwalała na istnienie zarządów miejscowych, ale posyłała im zawsze na kark wszechwładnego komisarza zbawienia publicznego. Tak samo z sądownictwem. Skrajna lewica domagała się obieralności. Zdrowy rozsądek mówił, że sądownictwo i dobry wymiar sprawiedliwości w Lyonie obchodzi w równej prawie mierze mieszkańca Hawru, co i wyborcę z departamentu Rodanu; potrzeba więc, aby on mógł je kontrolować, a to wtedy tylko będzie możliwem, gdy za postępowanie sędziów odpowiedzialne będą władze ogólno-państwowe. Wszystkie jednak argumenta współczesne odpierano wskazywaniem na Konstytuantę. Jeden z najgorliwszych wykonawców testamentu Rewolucyi, a więc stanowczy zwolennik wybieralnych sądów, Jules Roche, robił mozolne studya nad historyą odpowiednich czasów, dla nagromadzenia potrzebnych dowodów. Rezultatem pracy było wyświetlenie, że Konwencya z sądownictwem postępowała zupełnie tak samo, jak z gminną autonomią, zgięła je pod władzę państwa i kraj na tem zyskał. Zabrawszy więc głos w Izbie, powiedział: myliłem się, sądownictwo winno być mianowane przez rząd.

Naturalna rzecz, prócz logicznych argumentów, możnaby znaleźć wiele faktów dla uwidocznienia szkodliwości zbytniego rozluźnienia składowych części jednego organizmu. Sędziowie w Lyonie wydali niedorzeczny wyrok, ministeryum chciałoby to poprawić, opinia publiczna żąda tego, ale cóż, sąd jest niezależny. Jakaś gmina znowu uchwaliła głosami swych radców zwalić wieżę, czy łuk jakiś, dzieło sztuki, pamiątkę historyczną. Przyczyną tego było udogodnienie chodzenia po wodę. Jakże wtedy wszystkim było błogo, że rząd mógł powstrzymać wandalską rękę i ocalić od zagłady własność całej Francyi!

Pierwszy potrzebę zmiany frontu wobec zmienionych warunków poczuł Gambetta. Stąd zarzuty zdr ady, niecnych zamiarów, podłości nawet. Nazwa *autorytysty* dla wielu była hańbiącą, czasami do głowy nawet nie przyszło zobaczyć, a może też pod tą niesympatyczną nazwą kryje się prawda. Nazwiska czasami są fatalne. Meternich żaden, choćby najporządniejszy człowiek z ojca i pradziada, nie posiądzie przez czas jeszcze długi sympatyi postępowych partyj. Coś podobnego dzieje się tu z centralizmem; to, że on należy do innej rodziny i gałęzi, mało bardzo pomaga. Potrzeba, ażeby z jednej strony opinia z codziennych doświadczeń nabrała przekonania, że dyabeł nie taki zły, jakim go przedstawiają, a powtóre trzeba. aby do walki z rewolucyjnemi formułami stanęły inne twardsze.

Że dziś wszystko się trzyma, choć tak licho, zawdzięczać jedynie należy instynktownemu prawie rozsądkowi narodu. Gdyby chciano wcielać wyznawane zasady, wszystko by się dawno rozpadło. Konwencya może tu służyć za typ. Uznała decyzye Konstytuanty w teoryi, a nie wykonywała jej. Ale było to głównie i jedynie prawie w chwili niebezpieczeństwa; kiedy ono minęło, wracano znowu do dawnych fantazyj. Teraz dzieje się tak samo. Groźby pretendentów, przesilenia, niepowodzenia zewnętrzne nastraszyły nieco republikanów. Powstaje natychmiast rząd, złożony z autorytetystów, gambettystów: Ferry, Chalemel-Lacour, Weldeck-Rousseau; i nietylko zapominają im dawniejsze wystąpienia w obronie centralizacyi, ale nawet oklaskują teraźniejsze demonstracyjne wymachiwanie programem eks-dyktatora.

Od niepamiętnych czasów Francya nie miała tak tęgo skutego rządu z wyjątkiem chyba „wielkiego ministeryum.“

Wszyscy czują, że Ferry silną i pewną ręką ściągnie wodze rozbrykanej samowoli Izby, prasy i pokątnych intrygantów i to. co kiedyindziej irytowałoby, dziś wywołuje wewnętrzne zadowolenie.

Jakby ciężar spadł z przygniecionej niepokojem opinii.

„Mamy przynajmniej rząd, co się nazywa“ — mówią, lub myślą nawet ultralewi, choć półgłosem dla przyzwoitości mruczą: „to reakcyoniści!“ Wiadomości ostatniej chwili, płynące z dzienników i wprost z warsztatów, zdają się stanowczo twierdzić, że ruch przemysłowy natychmiast po usykowaniu się gabinetu wzrósł znacznie i zamówienia wciąż przybywają.

Wielka by to była przysługa dla Francyi, gdyby kryzys zażegnano choć w części.

Times podał pozawczoraj wiadomość, że Ferry posiada piśmienne zobowiązanie się Grevego rozwiązania Izby. w razie obalenia obecnego gabinetu przed upływem 6 miesięcy. Chodzą pogłoski, zaczerpnięte z poważnych bardzo źródeł, że prezes gabinetu osobiście wyrzucał Wilsonowi (zięciowi Grevego) intrygi przeciwko Gambecie i zagroził oskarżeniem przed Izbą i całym narodem, w razie powtórzenia czegoś podobnego. Gazety oportunistyczne zupełnie w tym samym duchu przemawiają. Były dyktator podczas wojny jeszcze miał powiedzieć, że siły w walce o zwycięstwo swych planów nie użyje nigdy i postanowienie to wykonał ściśle. Ile razy przyjaciele jego chcieli wystąpić przeciwko oskarżeniom, oszczerstwom, i ścigać potwarców, demaskując lub stawiając przed kratki sądowe, on zawsze kładł stanowcze *veto* i za kilka dni lub tygodni zapominał najcięższych nawet uraz. Wiele pism, a w tej liczbie i poważne tygodniowe *Revue politique i littéraire* (artykuł Reinacha) oskarża głośno samego pre-

*) Jest to fakt tak oczywisty i uznany, że uzasadniać go byłoby zbytecznem, a jednak w pewnem poważnem piśmie polskiem, wyczytałem raz: „Wejdą do ciebie (ziemia Chanaan, przyszłość demokratyczna) wszystkie ludy i im młodsze, tem prędzej może i pewniej.“ Nie znam dziwów wschodniej socyologii i nie śmiem wyrokować o jej zdrowym sensie, ale mi się to zdanie nieco podejrzanem wydaje. Do jakiego punktu zawartą w nim logikę rozciągnąć można, czy aż do patagończyków? A Szwajcarya bez większych majątków z ludowładztwem zupełnem? A Norwegia (nie wiem czy to stara, czy młoda), gdzie dwu hrabiów i jeden baron podobno dogorywają na dożywociu cierpliwości chłopskiej?

zydenta o kopanie dołków pod Gambettą. Kiedy po zwaleniu Mac-Mahona, przywódca partyi republikańskiej, „wielki wyborca,“ posadził swym wpływem na prezydyalnem krześle Grevego, opinia całej Europy była przekonaną, że on zostanie przywódcą ministeryum. Gambetta sam uważał się za takowego i poszedł natychmiast do nowego naczelnika państwa z oświadczeniem, że jest do dyspozycyi. Grevy wybrał Waddingtona. Kiedy na czele gabinetu stawał Freycinet, potem Ferry, znowu nadspodziewanie eksdyktatora pominięto. Dzisiejszy prezes rządu zwracał nawet w ostatnim wypadku uwagę Grevego, że jeden tylko Gambetta może w takich trudnych warunkach coś zrobić; prezydent odrzekł, iż go chowa na inne czasy. A tymczasem reakcyoniści i radykaliści głosili, iż ambitny uzurpator przyszły nie chce wziąść na siebie odpowiedzialności, natomiast rządzi skrycie. Cóż miał na to odeprzeć Gambetta? Inne czasy nadeszły, kiedy usilna praca przeciwników przyćmiła popularność „wielkiego obywatela,“ kiedy wybory z listy zostały na długo pogrzebane i kiedy upadek był pewny.

Kilka miesięcy temu niktby tym opowiadaniom nie wierzył; dziś po sprawdzeniu, że opiewane miliony, skradzione, lub wygrane na gieldzie, równają się nędznym 20 tysiącom franków w akcyach wydawanego pisma, dziś w chwili powszechnego odczucia słuszności jego dążeń, zaciskają się pięście ze złości na siebie i na potwarców a usta szepczą: już się to nie powtórzy więcej!

Zwrot do rozsądku i rozbrat z rewolucyjnemi hasłami widać z różnych faktów i pozaparlamentarnych. Najprzód wielcy przemysłowcy, a potem robotnicza *Union des Chambres Syndicales* (183 Izby syndykalne) podały petycye do Grevego, wyrażając potrzebę silnego rządu wewnątrz i zewnątrz, żałując (robotnicy) nieudania się planów Gambetty w kwestyi egipskiej. Jest to pierwszy może przykład, aby tak poważna instytucya robotnicza przemawiała w ten sposób.

Byłyby to objawy dla Francyi bardzo pocieszające, gdyby można było wierzyć, że przetrwają one chwilę niebezpieczeństwa. Stanie się jednak prawdopodobnie przeciwnie. Fakt, oparty na pewnem odczuciu, nie może walczyć ze sformułowanemi hasłami metafizyczno-demokratycznemi (używam tego słowa nie w znaczeniu społecznym, jak się to u nas przeważnie mówi, lecz w czysto politycznym).

Stanie się tak samo, jak niegdyś z Konwencyą. Potrzeba nowej republikańskiej doktryny, inaczej rozdział dzisiejszy trwać będzie. Pomysły radykalne za żadną spójnię i przewodnictwo dla partyi rządzącej służyć nie mogą, bo do praktycznych zastosowań najzupełniej się nie nadają. Czyż można wytworzyć jakąś większość, czy to w Izbach, czy w narodzie, wobec zupełnego braku wspólnej myśli w ogólnym poglądzie na publiczne sprawy?

Kto doktrynę taką da światu i kiedy? Na pytanie to odpowiedzieć można tylko w ten sposób: nauka obwieści ją Francyi i może niedługo. Demokracya, złamawszy wraz z burbońską lilią i arystokracyę, uwłaszczywszy chłopów, uświęciwszy zasadę powszechnego głosowania, rolę swoją spełniła. Bardziej ograniczony socyalizm jest zbyt jednostronnym. U pisarzy francuskich z końca 18 wieku znaleźć można wiele pomysłów, co za fundament nowej budowy posłużą, ze współczesnych, szczególniej u Comte'a, widzimy już szersze rozwinięcie tego; ponieważ nareszcie Francya najmocniej odczuwa potrzebę zwalenia starych bóstw, więc też bez kwestyi tu, a nie gdzieindziej do długiego szeregu kolebek idei przybędzie nowa.

K. T.

PSYCHOLOGIA WIELKICH LUDZI.

I.

Tajemnicza istota genialności i natchnienia zdawien dawna przyciąga wszystkie badawcze a wrażliwe na wielkość umysły. To, co Fichte w swych prelekcyach „O posłannictwie uczonych“ nazywa „bożą ideą,“ było już przedmiotem wielu naukowych, po największej części mistycyzmem zabarwionych studyów. Niema roku, ażeby w zachodniej Europie nie wygłaszał ktoś odczytów o talencie i natchnieniu. Do rozbioru zjawisk tych wiedza socyologiczna i psychologiczna przystępuje z coraz większym zasobem środków—i oto znowu widzimy jej krok w obszernej pracy znanego antropologa francuskiego, Henryka Joly *).

Pytaniem zasadniczem w badaniu natury wielkich umysłów jest przedewszystkiem związek ich z tłem, od którego odskakują, t. j. z rasą. Jedynie ludy, posiadające cywilizacyjne kwalifikacye i wyrobione formy społecznej, nietylko ku podbojom skierowanej działalności, mogą wydawać wybitne, w europejskiem znaczeniu wyrazu, jednostki. Lecz nie wszystkie w równym stopniu. Gdzie czynności duchowe zmonopolizowane są przez jedną tylko kastę, której żadne ogniwa nie łączą z innemi warstwami narodu; gdzie państwo reprezentuje jeden tylko żywioł, a pozostałe wegetują lub drzemią w letargu — tam zbyt małym jest umysłowy nakład i interes powszechny, by zdołał przynosić w procencie osobniki szczególnie uzdolnione. Dzieje Egiptu, rządzonego przez samolubnych i despotycznych kapłanów; historya indusów, poniewieranych przez szalbierczych braminów—nie przedstawiają imponujących swą wielkością umysłów. Podobnież średniowieczne chrześciaństwo, skupiające całą naukę w rękach kościoła, i feodalizm, nieprzyznający prawa samoistnego i niezależnego bytu nikomu, prócz magnatów, cechuje jałowość bezprzykładna. Dopiero, gdy przybył nowy pierwiastek w postaci klasztorów, gdy zaczęło się budzić z wielowiekowego uśpienia mieszczaństwo, gdy zjawili się prawnicy, badacze nauki klasycznej, gdy monotonność zaczęła ustępować miejsca różnobarwności, gdy powstała konkurencya na umysłowym rynku, weszły w grę rozmaite, dotąd zaklęte siły, nastąpiła wymiana myśli, usług i organiczny podział pracy: dopiero wtedy pojawiać się zaczęli wielcy ludzie, jako ogniskowe punkta nowo zrodzonych prądów i dążności. Geniusz bowiem, wyrastający tylko na gruntach pracowicie uprawianych, streszcza w sobie i potęguje kiełkujące w społeczeństwie pragnienia. Rapsodowie mieli swego Homera, komentatorowie Arystotelesa swego Tomasza z Akwinu, generałowie rewolucyi swego Napoleona.

Stosunek geniuszu do jego bezpośredniej kolebki — rodziny wytworzył wiele błędnych mniemań. Dosyć powszechnym jest przesąd, że najmłodszy lub najstarszy w rodzeństwie syn stanowi okaz najdoskonalszy; jedni sądzą, że każde następne dziecię jest coraz to mierniejszym szkicem ostatniego; inni, że na drugiego i dalszych potomków nie starczy naturze twórczości. Atoli niezliczone fakty dowodnie przeczą temu. Lecz godnem jest uwagi, że daleko częściej napotkać można wielkie talenty między żeńskiem rodzeństwem wielkich ludzi, a zwłaszcza młodszem; daleko częściej także matkom niż ojcom geniusze zawdzięczają swoje uposażenie (Bacon, Condorcet, D'Alembert, Watt) i że również często duchowymi spadkobiercami ich są kobiety, o czem świadczy między innemi Karolina Corday, jedna z wnuczek Corneilla, p. de Stael, córka Neckera, Krystyna, córka Gustawa Adolfa; w starożytności Tullia, córka Cycerona, Julia—Cezara, Hypatia — geometry Teona. Szczególne to zjawisko możnaby wytłomaczyć hypotezą, że natura wyczerpuje się wprawdzie na mężczyzn, lecz pozostaje jej nietknięte, a całkowicie odmienne bogactwo kobiecej natury. Co do nas, to podobna ekonomia wydaje się nam zbyt warsztatową. Wszystkie tego rodzaju fakty opierają się na prawie rodowej dziedziczności, znakomicie sformułowanem przez Goethego w zdaniu, że w rodzinach długo istniejących, skutkiem ciągłego nagromadzania się zdolności, w końcu zjawić się muszą jednostki, zeźrodkowujące w sobie wszystkie siły umysłowe i właściwości przodków. Pozornie przeczy temu fakt, iż wyniesione zasługą rodziny prędko się wyradzają, czyli że długotrwałość nie daje się pogodzić z wybitnością; nadto dziedziczność tłomaczy nam tylko jakościową naturę geniuszu, pozwalające sprowadzić każdy czynnik psychiczny do odpowiedniego rysu protoplastów, lecz spotęgowania się go aż do nienormalności nie objaśnia. Na zarzuty te wszakże odeprzeć można, że byleby znajdował się jeden rys wybitny, może się stopniowo wzmagać i że przedewszystkiem rody istnieją w rzeczywistości dłużej, niż figurują na kartach historyi: przed zasłynięciem mogą pozostawać w ukryciu, po rzekomem zniknięciu z horyzontu — w linii żeńskiej.

Geniusze ukazują się zazwyczaj nagle, niespodzianie; skutkiem tego przedstawiają się one prostackom w skojarzeniu z jakąś ekstazą, wizyami, słowem chorobliwym stanem umysłu. Stąd biorą niektórzy pochop do twiedzenia, iż genialność jest uwarunkowana również patologicznym stanem mózgu, jak idyotyzm lub krytynizm; lecz ażeby dodatniość i ujemność miały być w zasadzie identycznemi, na to trudno się zgodzić. Nam znowu trudno się zgodzić z Jolym na ten wątpliwej wartości argument. Postawmy się na chwilę w położeniu zupełnie objektywnem, nierozróżniającem złego od dobrego, a cała niemożebność owej tożsamości okaże się grą wyrazów. Według Jolego można przypuścić tylko zmienność lub metamorfozę kolejną, t. j. że jeśli podniecenie umysłu do niezwykłej potęgi nie jest współczesnem chorobliwemu jakiemuś paroksyzmowi, to go za sobą pociąga—tak mniej więcej, jak pewne rodzaje reumatyzmu przechodzą następnie w taniec św. Wita. Lecz i podobne twierdzenie jest mylnem, jak można widzieć z rozbioru trzech następujących wypadków: a) gdy geniusz słabość odziedzica, b) kiedy ją pierwszy w rodzie ujawnia, c) gdy ją przekazuje potomkom. W pierwszym razie za przykład posłużyć może Henryk IV, Napoleon I i Fryderyk Wielki; czy ich słabości można uważać za metamorfozę geniuszu przodków? Bynajmniej, gdyż szły one w parze z równą, a nawet większą genialnością. La Rochefoucauld objaśnia ową dwoistość charakteru prawidłem, iż „tylko wielcy mają wielkie błędy.“ Żadne fakta wszelako konieczności tej nie dowodzą. Można tylko powiedzieć, że wielcy mogą grzeszyć „bezkarnie.“ W drugim wypadku zachodzi alternatywa: albo geniusz karmi się słabością, co brzmi niedorzecznie, albo nadmierne wytężenie siły nerwowej pozostawia w skutku po sobie wyczerpanie i wycieńczenie. Gdy w umyśle następuje rozprzężenie, wówczas rys ujemny zjawia się bez towarzystwa przeważającego go dodatnich, potęguje się w potomstwie i w końcu przybiera formę idyotyzmu. Metamorfozy kolejne zachodzić jedynie mogą w chorobach, np. w suchotach, które w różnych pokoleniach na rozmaite

*) *Revue philosophique* „Psychologie des grands hommes“ kwiecień, lipiec, sierpień, listopad, 1882.

mogą się rzucać organy, lub w talencie, który przybierać może rozmaite postacie. Lecz gdy dana jednostka z niemocy podobnej się wyleczy, lub w nią wpadnie, czy jaki lekarz powie, że zdrowie koniecznie wyniknąć musiało z choroby i naodwrót?

Niemniej ważnym od stosunku geniuszów do przodków, jest stosunek do otoczenia, które ich wykołysało. W tym względzie najpopularniejszemi są dwie teorye. Jednej z nich rzecznikiem jest Galton, biorący rzecz statystycznie i dowodzący, że liczbę wielkich umysłów, jak i liczbę zbrodni, z góry można na rok przewidzieć; przedstawicielem drugiej jest amerykanin James, dla którego geniusz jest prostym wynikiem umysłowej walki o byt; z tego stanowiska wychodząc, można dany osobnik przy pomocy praw odziedziczania i przystosowania doprowadzić w następnych pokoleniach do szczególnej doskonałości. Doktrynę Galtona dostatecznie obala fakt, iż uczynić coś wielkiego nie tak łatwo, jak popełnić przestępstwo— trzeba mieć ku temu odpowiednie dane, otoczenie i środki —a także i fakt, że gdyby geniusz nie był zależnym od całego społeczeństwa, lecz fatalistycznie w niem się ukazywał, nie potrzebowałby pomocy niczyjej, a, jak wiadomo, nikt nie odnosi tryumfu bez współdziałania współczesnych i poprzedników. Geniusz jest produktem swej sfery, z niej ssie on soki, które w formie kryształu podaje światu. James znowu za wiele przywiązuje wagi do mechanicznie działających sprężyn i gry przypadku. Wielcy ludzie nie walczą przecież o swój byt z innymi gatunkami. Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że pozostawiają oni w cieniu talenta i miernoty, lecz za to wydobywają z ukrycia tych, co im zwycięstwo przygotowali. Współczesnym wybitny umysł nie odbiera chleba, lecz owszem świeżego im dostarcza, budzi z upadku i zastoju.

Aureola jedna nie przyćmiema innych, lecz się z nimi w jeden system świateł układa. Geniusze nawet nowych gatunków nie stwarzają: dają im po prostu wyraz i prawo obywatelstwa. Kierunki i szkoły istnieją z góry w takiej różnorodności, że nie mają potrzeby uciekać się do współzawodnictwa dla powoływania do życia nowych odmian. Przodownicy ludzkości zaostrzają jedynie ważniejsze jej potrzeby i przez to wyjaśniają wątpliwości, pomnażają poglądy, rozszerzają widnokrąg działania i myśli, tworzą antytezy i utrzymują dzięki temu wszystko w związku z teraźniejszością i w ciągłości z przeszłością. Zasada społecznego doboru, która sprawia, że jednych dana epoka odrzuca, a innych przyjmuje, powinna być rozumianą inaczej, niż ją pojmuje James, a mianowicie, że pewne ideały wybijają się na wierzch zawcześnie i napotykają niedostatecznie przygotowany grunt, na którym, pomimo największego wytężenia energii nic zdziałać nie mogą. Toż samo widzieć możemy we wszystkich dziedzinach ducha, nauce, sztukach pięknych i polityce.

(D. n.)

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Łodzia z Bytomia. **Filozofia praktyczna**, Warszawa.

Gdyby Pytagorasowi przepowiedział ktoś ze współczesnych mu, że jego nauka przetrwa dwadzieścia parę stuleci i znajdzie ostatecznie zwolenników w stolicy sarmatów, wzruszyłby z niedowierzaniem ramionami... A jednakże nie miałby słuszności; „filozofia praktyczna“ bowiem p. Ł. w znacznej części daje się wyprowadzić w prostej linii od matematycznych fantazyj greckiego mędrca. Wprawdzie autor nie wszystkich rzeczy istotę widzi w liczbach, lecz do niektórych z nich przywiązuje więcej niż symboliczne znaczenie, układa jo w pewną hierarchię z trójką na czele. Na trójce tej opiera cały swój systemat; z niedoskonałości dwójki wnioskuje o niedostateczności dualizmu i lekarstwo nań znajduje w trójce jako wyrazie wszelkiej syntezy, psując tem mistycznem założeniem całość swych, zresztą nieraz dosyć zdrowych monistycznych poglądów. Pan Łodzia bowiem jest panteistą w dosyć dodatniem tego wyrazu znaczeniu i w zasadniczej części swej pracy usiłuje wykazać, że w żadnej dziedzinie filozoficznego dociekania dualizmu bezwzględnego niema i być nie może, że „duch i materya, doczesność i wieczność, świat i zaświat, życie i śmierć, zło i dobro, konieczność i wolność, przyroda i nadprzyroda i tym podobne przeciwieństwa stanowią jakościowe wykładniki jednej i tej samej rzeczy, a zatem nie znoszą się wzajemnie, lecz właśnie w połączeniu do wyższej i jednolitej wznoszą się potęgi.“ Na pogodzenie każdej z powyższych antytez, którym poświęca osobne rozdziały, nie składa bynajmniej nowych argumentów, lecz po prostu, na zdrowym rozsądku oparty, choć nieściśle, obala wszelką jednostronność. Pojęcia biologiczne nie rożnią się wiele od odnośnych panujących współcześnie poglądów naukowych; lecz kwestya nieśmiertelności duszy tak jest zagmatwaną przez mnóstwo porównań i poetyckich zwrotów, iż trudno stanowczo osądzić, czy autor uznaje indywidualny byt zaziemski, czy nie. Jedynie ogólny koloryt książki, wolny od przesądów, każe przypuszczać, że na tym punkcie autor zupełnie zadawala się wiekuistością zbiorową, trwałością powszechnego ducha ludzkiego; w przeciwnym bowiem razie niekonsekwencya jego byłaby tak rażącą, że chyba tylko na wyraźne żądanie autora moglibyśmy w nią uwierzyć.

Za częścią teoretyczną idą wnioski praktyczne. Opierają się one głównie na bezpośrednio je poprzedzających, nader licznych kategoryach: genezy, warunków i objawów bytu. W ugrupowaniu tych kategoryj znowu liczba trzy nabiera kierowniczego znaczenia. Tak np. byt objawia się pod postaciami: podmiotu, przedmiotu i wiązadła; zmysłu, umysłu i mysłu (?); kształtu, ilości i jakości — a każda z tych kategoryj dzieli się znowu na trzy, więcej szczegółowe. Panuje tułamigłówka, odziedziczone po Trentowskim dowolne urabianie języka na sposób terminologii niemieckiej, jałowa spekulacya, silnie trącąca Cieszkowskim i Libeltem. Jak zaś odbywa się wysnuwanie praktyczno-etycznych zasad, okażą następujące próbki. Pierwszy szereg czynników, warunkujących byt, składa się z idei woli i czynu; stąd wypływa, że, aby powołać coś do życia, należy przedewszystkiem utworzyć sobie w myśli obraz mającego powstać przedmiotu, następnie zamierzyć go wykonać, a w końcu chcieć obrócić w czyn. Do wcielenia wszakże idei w czyn potrzeba „czasu, przestrzeni i żywotności“ — jest to drugi szereg warunków bytu, co w zastosowaniu praktycznem oznacza, iż, zabierając się do dzieła, należy korzystać z właściwej chwili, nie opóźniając jej, ani przyspieszając, i uwzględniać kategoryę przestrzeni, to jest brać przedmioty we właściwym porządku i t. p. W tych wywodach praktycznych daremnie byśmy nowej mądrości szukali; nie przedstawiają one zresztą nic ciekawego pod względem architektonicznym, albowiem wszechwładne panowanie trójki nadaje analizie bytu cechę wymuszoności i naciągania.

Wogóle cała praca wartości naukowej nie posiada, do czego zresztą autor nie rości żadnej pretensyi. Wyznaje on, że pisze nie jako uczony, lecz jako myśliciel (!), ze spostrzeżeń i doświadczeń wyciągający ogólne prawidła życia, do czego i innych zachęca. Jest to więc w polowie domorosły, na chaotycznym zbiorze naukowych pierwiastków ułożony systemat, stanowiący objaw pocieszający w naszej literaturze poważnej, ze względu na przeważający w nim żywioł monistyczny; ujemny zaś o tyle, że w nim brak konsekwencyi czego dowodzi ciągle niemal mieszanie owego monizmu z teleologicznym monoteizmem, że wspiera się na suchej abstrakcyi, a potwierdzenia tych tez szuka w etymologii samych wyrazów. Metoda rozumowania jest na wskróś dedukcyjną; obok wskazanego już apriorystycznego twierdzenia o znaczeniu dwójki i trójki, staje naczelne kryteryum w rodzaju Descartowskiego „claire et parfaite distinction.“ Prawdy, przez ogół najlepiej rozumiane, są — według autora — najtrafniejszym punktem wyjścia dla filozofii praktycznej. Wobec tylu zniechęcających do czytania właściwości książki, wątpić należy, czy kto ją dłużej nad minut kilka w ręku potrzyma, mogąc po te same prawdy, nowszem tchnieniem owiane, do wielu innych udać się źródeł; a w takim razie cel autora byłby chybionym i nadzieja znalezienia naśladowców „praktycznego,“ nie szkolnego filozofowania, zawiedzioną.

N. H.

GALILEE VICISTI.

I.

Na krwawem polu, wśród bojowej wrzawy,
Oręża szczęku i wśród przekleństw ryku—
Wołał, padając z konia Cezar krwawy:
„Więc zwyciężyłeś mnie Galilejczyku!“

* * *

Z otchłani boju, przez szafirów morze
Czarnemi skrzydły płynął duch pokutny;
Rozpacz go wściekła gnała po przestworze,
Więc beznadziejny sercem był i smutny.
Jeszcze mu w myśli tkwił cios piorunowy
Jeszcze mu brzmiały grozą po kolei:
Jego zagłada i tryumf Ichowy.
Duch płynął w górę. Jasnych gwiazd plejada
Na jego widok przystanęła w trwodze...
On mijał jasne: inna gwiazda — blada
Miała położyć kres samotnej drodze.
Jak grom przekleństwa zawisła w prze-
[strzeni
Od siostrzyc swoich i od słońc daleka,
Sama bez świateł jasnych i promieni.
Snuły się po niej duchów tych gromady,
Co z blaskiem prawdy toczą wieczne boje,
I odbywały na niej swe narady
I wyprawiały na niej harce swoje.
Jak myśl o zemście gdy ją rozpacz pędzi,
Tak leciał chyżo czarny duch Cezara,
Aż się u bladej zatrzymał krawędzi
Aż przed nim gwiazdy wypłynęła mara
Z mroków. Czarniejszy niźli cienie nocy.
Był jak nienawiść, gdy się z siłą zwiąże,
Na czole symbol miał piekielnej mocy.
I do Juliana straszny i ponury
Mówił: „Gdym jeszcze tu nie ujrzał ciebie,
Już nienawistnych mi aniołów chóry
I wrzask *hosanna*! słyszałem w ich niebie;
Jużem posłyszał ich okrzyk zwycięski;
Jużem ku niebu posłał me przekleństwo,
Bo przeczuwałem widmo twojej klęski,
Galilejczyka przeczułem zwycięstwo...
Moja to wina! Na twe barki młode
Zanadto ciężkie jam nałożył brzemię,
Zanadto wielką dałem im swobodę,
Za mało piekła przelałem na ziemię!...
O, bezrozumny! Ty pułkami twemi
Chciałeś pokonać to, co krzepnie w boju:
Po dniach męczeństwa i krwawego znoju
Nadzieję ciszy tyś chciał odjąć ziemi.

Nie prędzej pójdą moi słudzy wściekli
Aż tam, gdzie niebios blaski promienieją,
Niżby się ludzie nadziei wyrzekli...
O, bezrozumny, tyś walczył z *nadzieją*!
Więc zdruzgotany jesteś i upadły.
Lecz niech nie myśli prorok z Betleemu,
Że kres położył władaniu mojemu;
Gdy jego pułki twoimi owładły.
Dziś na mnie kolej! Ja pójdę do boju!
Dziś ja piekielne rozwinę sztandary.
Ja krwawej wzamian zażądam ofiary!...
Galilejczyku, nie spoczniesz w pokoju!

Patrz, apostato, wśród świata obszarów
Widzisz ojczyznę twoją — drobną ziemię?
Na niej czy widzisz stolicę Cezarów
I braci twoich ludzi nędzne plemię?
Tam zacznę walkę! Tam z rzymkich biskupów
Mych najwierniejszych stworzę sprzymierzeńców...
O, nazarejczyk nie wydrze mi łupów
Z czoła niezerwiemi zwycięzkich wieńców.
Czy wiesz, Julianie, o jakiej *opoce*,
O jakiej twierdzy mówił syn Jehowy?
O tej, co krzepi tułactwo sieroce,
O tej, co sercu jest jak gród zamkowy.
O hartowniejszym myślał mistrz pancerzu,
Niż dym kadzideł i niż woń wawrzynów:
On o potężnem mówił im przymierzu
Prawdy ze słowem i z miłością czynów.
A teraz słuchaj u piotrowej skały
Ja najwierniejsze me postawię straże
I najwierniejszym strażom mym rozkażę...
Mego zakonu strzedz i mojej chwały
Ja zastępami duchów mych dziewięcią
Mury stolicy Piotrowej otoczę
I nie wypełnią się słowa prorocze
Gdy gród ich moją naznaczę pieczęcią.
Ja dam im mojej ewangelii księgę
I moim prawom kłaniać się rozkażę:
Inną opokę i inną potęgę
W czarownych blaskach zdala im ukażę.
Wśród życia trudów i kolei zmiennych
I w dzień tryumfu i w godzinę trwogi
I w dnia marzeniach i w widzeniach sennych
Ja ich na moje poprowadzę drogi,
Ja im opowiem, że Chrystusa wolą,
Było — by władztwo zdobyli na ziemi,
Że gdy się dumy pancerzem okolą,
Krzyż jego — blaski otoczą nowemi,
Że im rozkazał z nieba sam Jehowa
Wieniec cezarów na ich skronie włożyć,
Ja ich nauczę, że Chrystusa słowa
Winny jak gromy — podbijać i korzyć!...

Krzyż im zostawię; z krzyża wieniec cierni
Zdejmę, by wiernych bólem opierścienić.
I będą płakać wśród tych męczeństw wierni,
Nie mogąc zmiękczyć serc ich i odmienić.
Ciernie oplotą te dusze bez zmazy —
Więc się przekleństwem nie splamią wśród bólu,
Lecz błagać będą: a z bram Kapitolu
Gorszych męczarni popłyną rozkazy!...
I przyjdzie chwila — widzę jak się zbliża —
Gdy nienawiści krzyż będzie znamieniem,
I dzień nadejdzie, kiedy w imię krzyża
Oni z morderstwem pójdą i zniszczeniem...
Tak! — przez krwi ludzkiej morze i po trupach
Zdobywać będą to swoje starszeństwo...
I niech zacięży na rzymskich biskupach
Syna Jehowy i ludów przekleństwo!

O wtedy hojnie opłacą me trudy!
Jak garść popiołów zniknie ich opoka,
Galilejczyka wyrzekną się ludy
I przyjdzie tryumf piekielnego smoka...
Czarnej otchłani nie ujrzą ich oczy
Bo ja potrafię ukryć moje sidła;
Sidła te duchów moich cień otoczy,
Otchłań przed nimi osłonią me skrzydła.
Niech przez zastępy moje zwarte szczelnie
Nie przemknie do nich promień prawdy słońca,
Niech tam będzie u nich aż do końca —
Piekielnie duszno i ciemno piekielnie!...
A sam stać będę na straży ich tronu
Będę ich łudził, że są zawsze silni —
I myśleć każę jeszcze w chwili zgonu,
Że niezmożeni są i *nieomylni*...
A kiedy w końcu śmiertelne całuny
Nad grobem własnej wielkości zobaczą,
Gdy — beznadziejną ścigani rozpaczą —
Przekleństwa poczną miotać i pioruny —
Wtedy niewiarą, którą sami zrodzą,
Ja obezwładnię ich klątwy i gromy
I na ruinach spopielałej Romy
Staną zastępy pod mych godeł wodzą!"

Tak mówił szatan...

Maryan Bohusz.

LIBERUM VETO.

Oda do młodości w Poznaniu. — Izajaszowa. — Dosyć rozumowania. — Stöcker. — Procent Stöckerów a Izajaszów. — Pouczająca biografia. — Westchnienie zamiast wywodu. — Przytułek dla ubogich. — Dom wychowawczy dla dyrektorów kolei. — Skok konserwatywny. — Gospodarstwo „stosunków." — Zarobek Z. Komarnickiego. — Pokwitowanie z pretensyi.

Po Mickiewiczu wielu synków i córeczek Apollina próbowało wydobyć ze swych lutni nową „odę do młodości." Dobre ich wszakże zamiary spełzły na niczem i pozostawiły konkurs otwartym. O wakującą palmę pokusiła się wieszczka w Poznaniu, pani Izajaszowa, która w tamtejszym *Dzienniku* wydała „głos do młodzieży polskiej." Pobudza ona dojrzewające pokolenie, ażeby rozdmuchiwało gasnący ogień, bo inaczej odlewany posąg ideału „się nie uda."

„Nie drżyj, w pomoc ku tobie zstępują cheruby.
Lecz pilnuj brylantowych drzwi duszy, dopóki
Jeszcze cała — bo szatan już pod nie podchodzi,
Już się dobiera jak złodziej
Kluczem *fałszywej nauki*."

Wogóle cała oda jest „doraźnym, ślepolotnym potępienia głazem" na ową „fałszywą naukę," według której

„Ten tylko, co mocną ma głowę i pięść
W bitwie o byt i szczęście lwią zabiera część."

Jeżeli zatem młodzież usłucha głosu Izajaszowej, rano wstając i wieczorem kładąc się spać, winna kończyć pacierz słowami: „Dosyć już rozmyślania, dość rozumowania!" O, tak, dosyć! Rozumu posiadamy zanadto, przelewa on się wszystkiemi porami naszego życia. Niech więc młodzież „klucz fałszywej nauki" rzuci w studnię, niech zacznie dmuchać w kuźni Izajaszowej, a z pewnością:

„I z pod zużli i z pod *kału* (!)
Wyda posąg ideału."

Widocznie pobudzony dźwiękami tej poznańskiej ody pastor Stöcker wystąpił w parlamencie niemieckim przeciw rektorowi uniwersytetu berlińskiego za to, że ten ośmielił się publicznie w rocznicę urodzin królewskich pochwalić... Darwina. Szanowny *Hofprediger* bardzo mnie tą napaścią ucieszył. Bo powiedziałem sobie: jeśli w Niemczech, w narodzie tak oświeconym, posłowie mogą łajać uczonych za pochwalenie największego z badaczów XIX w., to i u nas tembardziej wolno Izajaszom i Izajaszowym śpiewać: „Dosyć już rozmyślania!" Idzie tylko o to, jakim procentem głów oświeconych są w Niemczech Stöckerzy, a jakim u nas — Izajasze.

Ci ostatni podobno bardzo liczni, jak o tem świadczy od kilku tygodni wyjaśniana w *Nowinach* sprawa stosunku żydów do cechów rzemieślniczych. Majstrowie chrześcijańscy, których przyjście Izajasz biblijny (jak wszystko) przepowiedział, milczą, ale w ich ewangelii cechowej brzmi straszna klątwa na lud wybrany: „Biada pysznej koronie, pijanicom z Efraimu i kwiatowi upadłemu z ozdoby sławy swojej... Bo Jeruzalem upada, a Juda się wali. dlatego że język ich i sprawy ich są przeciwko Panu... Postawa oblicza ich świadczy przeciwko nim." Tak klął Izajasz Starego Testamentu i tak klną Izajasze nowego. Dzięki temu zdarzają się rzeczy następujące. P. H. Fürstenberg (opowiada sam w *Nowinach*), obznajmiwszy się z siodlarstwem w fabryce p. Lublińskiego, wyjechał dla dalszej nauki do Berlina, skąd powrócił ze świadectwem fachowem. Naprzód pracował jako czeladnik u Steinkellera a potem założył własną fabrykę. Gdy jednakże udał się do cechu z prośbą o świadectwo na majstra — odmówiono mu. Ponieważ zaś bez tej godności nie mógł przelewać swych praw ani na czeladników, ani na chłopców, których skutkiem tego musiał drożej opłacać, więc fabrykę, skutkiem niemożności utrudnionego współzawodnictwa, zamknął — na dowód prawdy słów Heinego: „żydowstwo jest nieszczęściem." Ta i tej podobne biografie może komu dostarczą osnowy do żywotnego artykułu, mnie tylko wydzierają westchnienie: kiedyż u licha skończą się u nas te średnie wieki! Izajaszu, powiedz, jak my za te grzechy pokutować będziemy?

P. Oberpolicmeister ogłasza w pismach odezwę, powołującą do składek na wybudowanie w Warszawie stałego przytułku dla biednych. Gdyby nie to, że „dosyć już rozmyślania i rozumowania." wartoby nad tą sprawą poważnie się zastanowić, tembardziej, że również „mamy dosyć" przymusowych Dyogenesów, którzy sypiają w kanałach, na dachach, w zrębach nowobudujących się domów, we framugach i t. p. schroniskach nędzy i... złodziejstwa. Szkoda tylko, że p. Oberpolicmeister nie przedstawił kosztorysu i organizacyi „Przytułku," ażeby miłosierdzie publiczne wiedziało, w jakich granicach ma się objawić. Już znaczne ofiary złożono, ale prawdopodobnie olbrzymich potrzeba. Wątpimy też, czy zebranie odpowiedniego funduszu da się uskutecznić siłami samej policyi; tu należałoby wprawić w ruch czynniki obywatelskie. Sztuka zamierzyła sobie wystawić dom własny, nędza także, ciekawa rzecz, która z nich od ogółu dostanie więcej pieniędzy.

Gdy te dwa domy staną, ja zaproponuję trzeci, podobno najpotrzebniejszy — na szkołę, kształcącą dyrektorów kolei. Bo też to zgroza, ażebyśmy dotąd nie mieli takiej instytucyi i ażeby przyszły dyrektor kolei A. musiał się wychowywać w biurze drogi B. Miło mi wszakże podzielić się z czytelnikami radosną wiadomością, że Delfin kolejowy robi znaczne postępy i na swym przygotowawczym urzędzie pracuje nieraz całą godzinę dziennie. Gniewa to bardzo ludzi fachowych, przez całe lata utrzymywanych na skromnej posadzie i niedorzecznie przekonanych, że na wyższe szczeble drabiny można wejść tylko wspinając się mozolnie z dołu. Jest, szanowni panowie, inna, daleko krótsza i pewniejsza droga z góry, która od reporterskiego stolika w redakcyach konserwatywnych (koniecznie konserwatywnych) prowadzi wprost na stanowisko, uprzyjemnione pensyą 6,000 rubli. Nasz Delfin kolejowy tem łatwiej mógł zrobić ten skok, że nietylko raportował wiadomości, ale także wpływał na Europę za pośrednictwem tłomaczeń z *Gazety Szląskiej* i raz napisał krytykę ruchu postępowego na linii warszawsko-pozytywnej, której przepowiedział dotąd niesprawdzone rozbicie się pociągów. Czy od podobnej katastrofy pod takiem przewodnictwem wolną będzie przyszła droga, nie wiem, w każdym jednak razie ja nie prędzej odważę się wsiąść do wagonu, aż będę przekonany, że nad mojem bezpieczeństwrm czuwają inżenierzy, a nie literaci nawet z obozu zacho-

wawczego. O, bo wiem, co oni zachowywać umieją!

Może te bardzo nie zgadza się ani z tradycyą, ani z prawomyślnością, ja jednak nigdy nie pojmę... owszem, pojmuję... tylko do wzorów prozy a nie poezyi wpisywać zawsze będę ludzi, którzy osobistą walkę o byt posuwają tak daleko, że chcieliby swe usta przyłożyć do wszystkich źródeł zysku i pić z nich za wielu. Pole pracy w kraju ścieśnione, tymczasem nepotyzm zgarnia ciągle w jedne ręce chleb, którym obdzielić by się mogło kilku głodnych. Właściciele rent i nieruchomości, dzięki „stosunkom„ wwiercają się jako synekurzyści tam, gdzie pozbawieni wszelkiego majątku nie mogą się docisnąć jako pracownicy. Jest to — za pozwoleniem — paskudztwo społeczne. Do jakich rozmiarów ono doszło, mógłby nas przekonać ponowny spis ludności według uposażenia. Ujrzelibyśmy wówczas takich "szczęśliwców. X. X., posiadacz kamienicy, 30,000 rs. posagu żony, urzędnik do szczególnych poruczeń przy kolei A, referent przy drodze B, buchalter w banku C, sekretarz Towarzystwa D, kancelista w Izbie E, dyrektor fabryki F i t. d. Bismark nie ma tylu orderów, ile posad mają u nas faworyci "stosunków." A dla utrzymania równowagi inni mrą z głodu.

Odczuł nieraz prawa tej równowagi zmarły przed kilku dniami, zapracowany murzyn Zygmunt Komarnicki. Jak wielu innych, schodzących ze świata, zarobił na śmierci podwójnie: nie potrzebuje starać się na kolej i otrzymał zaszczytne świadectwo z opuszczonej służby, pomimo że napisał rozprawę o Bolesławie Śmiałym i biskupie Szczepanowskim z podkreśleniem wzmianki Galla o kanonizowanym *traditor'ze*. Wypomniano mu to, ale lekko, natomiast, jak zwykle, za tę samą winę pogrożono żyjącym. No, oni też kiedyś umrą i doczekają tego nekrologicznego kwasu, w którym rozpuszczają się wszelkie grzechy.

P. Skiba, który postanowił uzyskać gratyfikacyę sławy za życia, przebrawszy się w nowe miano, jako p. Sabowski, i umywszy sobie usta, atakuje mnie grzecznie w *Kuryerze Warszawskim*, dowodząc, że walka o byt śród ludzi i prawo ich przystosowania się — to są „nowe bajki" — jak świadczy socyologia i historya. Ponieważ nie mam obowiązku być korepetytorem jego w obu tych przedmiotach tem więcej, że byłby prawdopodobnie znowu uczniem niegrzecznym, więc nie korzystam ze sposobności objaśnienia mu pewnych „fałszów" i „obłędów," które mocnych głów *Kuryera* nigdy nie przebiją. Spór o to: czy 2 razy 2 wypada 4, czy Sofokles, odstępuję mu do samodzielnego rozstrzygnięcia, jak zresztą wszystkie podobne, które podejmie z tąż samą wiedzą i godnością. Zgadzamy się: 2 razy 2 — Sofokles.

Poseł Prawdy.

Przyjemniejszym obowiązkiem prasy jest chwalić zasługę, niż ganić niecnotę, a najzaszczytniejszym — okazywać zawsze sprawiedliwość. Obowiązek ten spełniamy dziś właśnie za siebie i innych. W r. 1881 zamieściliśmy (zaznaczony przez kilka pism) artykuł p. t. „Proces z testatorami," w którym występując przeciw mnożącym się u nas prywatnym unieważnieniom zapisów dobroczynnych, włączyliśmy do tych objawów również postępowanie sądowe spadkobierców Sierakowskiej (w Płockiem), usiłujących obalić niewykonaną część jej testamentu. Zarzuty nasze oparliśmy na szczegółowem, dowodami opatrzonem objaśnieniu *Korespondenta Płockiego*, które nie pozostawiało żadnej wątpliwości. Zdawało nam się, że organ najbliższy miejsca sprawy i wtajemniczony w nią tak dalece, że podał numery i daty aktów, może być wiarogodnym świadkiem. Tymczasem obecnie, w półtora roku, przedstawiono nam dowody, przekonywające, iż *Korespondent* treść odpowiedzi ministra, decydującej o słuszności pretensyi spadkobierców, błędnie podał. Mianowicie, gdy część zapisu nie mogła być wykonaną, z braku odpowiednich instytucyj w kraju, a p. minister wybranej na ten cel w Płocku upoważnienia swego odmówił, pozostały znaczne fundusze, które swego testamentowego przeznaczenia spełnić nie mogły i o które skutkiem tego upomniała się rodzina dla uratowania ich na korzyść ogółu. Proces w ostatniej instancyi jeszcze nie rozstrzygnięty, ale spadkobiercy już podobno zobowiązali się do ofiarowania odzyskanych sum użyteczności publicznej. Powtórzyła się więc tu historya testamentu Wołłowicza i słuszność unieważnienia, a raczej dopełnienia woli zmarłych.

Żałujemy bardzo, że sposobność do tego sprostowania nastręczyła nam się tak późno. Zawdzięczamy ją dwu poważnym ludziom, z których jeden zna spór gruntownie a drugi daje nam najlepszą i czci godną rękojmię słuszności.

W PERSPEKTYWIE.

Kronikarz *Prawdy* kronikarzowi *Nowin* — zdrowia. Poszukiwanie artykułu karnego przeciwko mieszkańcom Siedlec. — Opinia publiczna w mieście i na wsi. — Synowie Eskulapa jako przedmiot polemiki gazet i jako amatorowie kazańskiego mydła. — Rozmaite rodzaje dywidendy. — Zachwały syn Marsa.

Wezwano mię, abym dał świadectwo prawdzie. Sprawa toczy się nie w moim okręgu, lecz w *nowinowym*; mógłbym przeto na mocy 626 § ustawy sądowej — nie stawić się na wezwanie. Ponieważ jednak proces obchodzi mnie bezpośrednio, więc świadczę.

Kronikarzowi *Nowin* nie podobało się moje nowe przekleństwo, z którego treścią zaznajomiłem czytelników w zaprzeszłym numerze *Prawdy*, mówiąc o „kijowskiej wyprawie" pewnego wyrobnika, świadka kradzieży butów. Kolega mój udzielił mi najprzód iście ojcowskiego napomnienia o obowiązkach jednostki względem instytucyj społecznych.

„Przekleństwo to powstało z powodu nieszczęśliwego losu pewnego wyrobnika, który aż do Kijowa pojechać musiał itd."

Przedewszystkiem szanowny kolego, gdybyś raz jeden musiał tak *pojechać*, jak ów robotnik (plantem kolejowym, ale piechota kilkaset wiorst, przez śniegi i lody), to byś już niemiał siły nawet na napisanie kilkunastu wierszy, ku obronie cywilizacyi; powtóre zechciej zauważyć, iż nowe instytucye społeczne istnieją nie tylko po to, aby o nich kronikarze mogli pisać ładne rzeczy i nie po to nawet, aby były klęską dla całych rodzin wyrobniczych, ale też i po to, aby ludzie jakikolwiek mieli z nich pożytek (oprócz honoraryum za artykuliki). Gdyby w każdym okręgu sądowym tylko raz na rok odbywały się podobne wędrówki, to i wtedy nowe sądownictwo mogłoby być przedmiotem słusznej krytyki i to dopóty, dopókiby przyczyny złego nie usunięto. Wynika stąd aż dwa wnioski: że jednostka ma prawo wymagać od społeczeństwa, aby jej nie obdzierało ze skóry i że nietykalność instytucyj pożądana jest tylko w państwie, na którego północnej granicy rozciąga się *mur chiński*.

Ale nowe sądownictwo nasze nie wymaga rzeczy barbarzyńskich. Mój niefortunny Ulises mógł uniknąć fatalnej „przejażdżki." Ja widziałem dla niego ratunek w pośrednictwie wójta, kronikarz *Nowin*, jako kotwicę wybawienia wskazał na § 626, który pozwala świadkom nie stawić się na wezwanie obcego okręgu sądowego.

W opowiadaniu więc mojem nie chciałem dyskredytować „najdroższych zdobyczy cywilizacyi." Opouent mój powinien się był domyśleć, że mówiłem tylko w ich obronie: łatwo zrozumieć, iż jedna przymusowa a mozolna podróż więcej zdemoralizowała owego wyrobnika na niekorzyść nowych sądów, niżby to mogła uczynić najsilniejsza i najbardziej uzasadniona krytyka publicysty.

Aluzya moja do interwencyi władz gminnych nie była atakiem na „najdroższe zdobycze," nie była wyrazem tkliwych uczuć dla śledztw policyjnych: była tylko wyborem z dwojga złego. I powiem śmiało: gdyby innego wyjścia nie było, głosowałbym w owym wypadku za wójtem, gdyż wartości „najdroższych zdobyczy" nie mierzę powabem ich ozdób introligatorskich, lecz skalą społecznego dobrobytu. Nie zapomnę nigdy, że „przy zastosowaniu w życiu najpiękniejszych teoryj — kropla zdrowego rozsądku nie zawadzi."

Wszelkie tedy posądzanie mnie o krwiożercze usposobienie względem „dorobków cywilizacyjnych" nie miało sensu; natomiast z całą słusznością przeciwnik mój wskazał mi § 626, o którym, przyznaję się, nie wiedziałem.

Dziękuję mu za tę cyferkę.

Radbym był również dowiedzieć się o jakimś artykule prawa, któryby zmusił nasze leniwe i lekkomyślne jednostki do rachowania się z opinią zacnych współobywateli i do wykonywania raz podjętych obowiązków. Gdybym znalazł ów upragniony artykuł — posłałbym go wraz z silną „egzekucyą" do Siedlec. Czytelnicy moi przypominają sobie zapewne, jak przed paroma miesiącami ubolewałem tutaj nad ciężkim losem zawiązującego się tam towarzystwa pomocy naukowej. Dowiaduję się teraz, że wszystkie ceremonie wstępne zostały już tam załatwione, że otrzymano pozwolenie władzy na zwołanie ogólnego zebrania wszystkich podpisanych na deklaracyi członków przyszłego towarzystwa i że zamiast owych paruset gotowych do działania obywateli, udzielono zaproszenia tylko 30 wybranym. Owocem tego arystokratycznego meetingu były arystokratycznie chude składki na korzyść uczących się biedaków, którzy będą musieli z powodu podniesionej opłaty wpisu opuścić szkołę. Walki o byt, jako zasady rozwoju społecznego, uznać nie chcemy, no, a gdyby nawet przyszło nam walczyć z jakąś wyższą cywilizacyą — to pokonamy ją przecie naszą ciemnotą.

Ciekawa rzecz co mówią mandataryusze siedleccy o swoich wystrychniętych na dudków współziemianach? Zapewne śmieją się po cichu z ich opinii zupełnie tak samo, jak pewien sołtys w łomżyńskiem nie dbał o to, co o nim powiedzą jego ciemni bracia. Dostojnik ten wioskowy przez całe *trzy lata* w oryginalny sposób leczył swoją nieszczęśliwą córkę — waryatkę. Metoda kuracyi zmieniała się wraz z porą roku. Latem zamykano pacyentkę w chlewku, razem z inwentarzem, a na zimę zacny ojczulek owijał ją w słomę i grochowiny, sadzał do dołu na kartofle i przykrywał chrustem... Jakiś prosty przypadek nie pozwolił sołtysowi doprowadzić do końca tego szeregu ciekawych eksperymentów i zmusił go do przeniesienia studyów z dziedziny psychiatryi na pole prawa karnego. Gazety nasze, fakt ten opisując, oburzają się na nieczułe serce wyrodnego ojca, na niemoc opinii, na niedbalstwo wszystkich wójtów i uriadników. Jest jednak jeszcze punkt jeden, na który nie zwrócono uwagi. Nie zapominajmy, że na obłąkanie lud nasz dotychczas patrzy, jak na chorobę, w której dyabeł czynniejszy bierze udział, niż we wszystkich innych słabościach naszego ciała... Łatwo więc można zrozumieć, skąd się bierze i owa nienawiść ojca do córki waryatki i owa apatya wójtowska.

Wobec podobnych faktów na wszelkie uznanie zasługuje podniesiona przez pisma codzienne kwestya powiększenia liczby miejsc w warszawskim szpitalu obłąkanych. Warto byłoby pomyśleć o skuteczniejszej dla nich kuracyi, niż grochowiny i obcowanie z bydłem.

Już to co prawda i inne rodzaje chorób nie cieszą się u nas zbyteczną troskliwością dozoru lekarskiego. Pan G. Doliński oświadcza teraz w *Gazecie Lubelskiej*, że na 25,000 ludności przypada w jego gubernii tylko jeden lekarz; *Nowiny* zaś, mówiąc o hygienicznych stosunkach całego kraju, dają każdemu z jego mieszkańców tylko $1/_{30.000}$ cząstkę syna eskulapowego. Oba pisma zachęcają naszych młodych lekarzy do osiedlania się na wsi i odwodzą od szukania chleba po za granicami kraju. Gdy się to dzieje, dr. Polak w tychże *Nowinach* występuje z obroną tułającej się po Cesarstwie naszej medycyny, mówiąc, iż jeżeli młody lekarz jedzie np. od nas do Kazania, to wabi go zapewne nie sławne kazańskie mydło, ale większy zarobek. Na to *Gazeta Lubelska* robi uwagę, że i u nas na wsi można by znaleźć przyzwoite utrzymanie, że kmiotkowie nasi dają za wygraną znachorstwu i lekom babskim. Tego ostatniego zdania *Gazety* dzisiaj nie mogą jeszcze poprzeć dostateczną ilością faktów, nie omieszkam jednak uczynić tego, gdy przeczytam w jej szpaltach wiadomość o jakiej lekarce, co leczy „makowem ziołeckiem i puchowem pióreckiem.

Niechże mię tylko nie pomówi ktoś znowu, że wypędzam do Kazania nasze „najdroższe zdobycze cywilizacyjne;“ ja pragnę tylko, abyśmy przestali tumanić siebie wysoką kulturą naszych „poczciwych kmiotków,“ względem których tylko *ludożerstwo* byłoby zawsze niesprawiedliwym zarzutem.

Osiedlenie się na wsi młodego eskulapa jest jeszcze u nas często ofiarą całopalenia interesów osobistych na ołtarzu publicznego dobra; starajmy się o taką ofiarność, ale nie rzucajmy kamieniem na tych, co nie mogą być bohaterami.

Jak się tu zadowolnić skromnym zyskiem, kiedy gdzieindziej toż samo społeczeństwo wybranym jednostkom swoim napełnia serca rozkoszą a kieszeń rublami — za zasługi, położone głównie w sprawie pasienia własnego brzucha. Teraz np. na kontraktach kijowskich szczęśliwi „cukrownicy“ biorą 30 i 40 procentową dywidendę z pracy... chciałem powiedzieć z dochodów fabrycznych. Mamu koledze z *Nowin* polecam tych szczęśliwców. Niech im powie małe kazanko o obowiązkach jednostki względem społeczeństwa. Słuchać go będą z tem większym spokojem i weselem, ile że żaden z nich nie przybył do Kijowa *piechotą* o chłodzie i głodzie. A przydałoby się w Kijowie kazanko mego kolegi! Prowincye zabużańskie potrzebują wielu rzeczy: i stacyi rolniczych i poprawy ras bydła i wielu tego rodzaju „nabytków.“ Niechże szczęśliwcy z tej swojej dywidendy oddadzą jakiś procent na pożytek młodszej braci, u której koni od krów, a krowy od chudego źrebięcia odróżnić nie można.

Zupełnie inaczej chciał przysłużyć się w Odesie swemu społeczeństwu pewien dymisyonowany syn Marsa. Oto ni mniej ni więcej tylko założył on fabrykę *relikwij* i świętości. Dywidenda jego była także dość znaczna, ale chciwa ludzkiego szczęścia policya — położyła koniec szacownej produkcyi.

Co też to za bezbożne czasy teraz, kiedy do wyrabiania świętości biorą się już ręce laików!...

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 28 lutego.

Deklaracya nowego ministeryum francuskiego i dekrety przeciwko Burbonom. — Ucisk w Irlandyi i spisek terorystyczny. — Szamotanie się klerykalizmu z rządem niemieckim. — Uznanie żądań Rosyi przez konferencyę londyńską i protest przeciw Rumunii.

Juliusz Ferry, ująwszy w ręce ster rządu francuskiego, skończył od jednego zamachu z czczą gadaniną w senacie i sejmie francuskim nad sprawą pretendentów.

Podobnie jak wówczas, gdy senat nie chciał przyjąć głośnego art. 7-go znanych wniosków Ferrego o reformie szkolnej i zgodzić się na usunięcie ze szkół wpływu duchowieństwa, wydane zostały dekrety zamknięcia klasztorów i rozpędzenia mnichów — tak obecnie, po odrzuceniu przez senat ustawy o środkach przeciw pretendentom, użytym został ów środek i prostym dekretem dano dymisyę trzem Burbonom z ich posad wojskowych. Książęta de Chartres, Aumale i d' Alençon zostali wykreśleni z armii francuskiej na podstawie starej ustawy z r. 1834.

Pierwszy ten energiczny krok nowego gabinetu francuskiego dobrze wróży o jego sprężystości w przeprowadzeniu ważnych reform wyraźnego programu jego naczelnika.

„Rzeczypospolitej — oświadcza Ferry w swej deklaracyi złożonej przed sejmem— trzeba nadać grunt pewny i system rozumny, trzeba usunąć bezowocne rozprawy i otworzyć rządowi inicyatywę naglących reform. Do nich należą: prawo o syndykatach rękodzielniczych, o bankructwie, ustawy wojskowe i sądowe. Rząd przedstawi budżet na r. 1884 i zawiąże układy z towarzystwami kolei żelaznych w celu rozpoczęcia wielkich robót publicznych.“

Polityka zagraniczna Rzeczypospolitej wedle deklaracyi Ferrego będzie pokojowa. Polityka pokoju nie będzie jednak bynajmniej zachowywaniem bezczynności. Wszędzie—mówi Ferry—gdzie honor i interesy Francyi w grę wejdą, Rzeczpospolita zajmie przynależne jej stanowisko. Dla utrzymania moralnej powagi ojczyzny naszej wśród ludów; trzeba, aby Europa widziała u nas rząd trwały, zabezpieczony przeciwko wszelkim wichrzeniom, administracyę sprężystą i szanowaną, republikę parlamentarną, opartą na trzech czynnikach właściwych ludowi francuskiemu: zdrowym rozumie, pracy i miłości postępu!

Deklaracya ta głowy nowego gabinetu francuskiego przyjęta została w sejmie i senacie z żywymi oklaskami i zadowolnieniem. Prasa i opinia narodowa powitały nowe gabinet również z wielką sympatyą i nadziejami, które przy takiem poparciu łatwo mu będzie spełnić.

Śledztwo w sprawie zamachu w dublińskim Fenikesparku przeciw lordowi Cavendishowi i Bourkemu naprowadziło rząd angielski na główne nici tajnego spisku, mającego na celu szeregiem mordów rzucić postrach na policyę i administracyę angielską. Spisek ten zawiązał się w łonie tak zwanej „Ligi rolnej,“ która dostarczała pieniędzy do wykonania zamachów. Broń i rozkazy nadchodziły z Londynu. Śledztwo wykazało, że b. sekretarz stanu dla Irlandyi, Forster, był przez spiskowych nieustannie ścigany, i uszedł śmierci jedynie dzięki dymisyi. Podczas gdy rząd angielski zacieśnia coraz bardziej okowy Irlandyi, lud jej cierpi nędzę głodową i dalej płacić musi wygórowane czynsze milionowym landlordom. Biedna Irlandya!

W Niemczech na nowo wre walka kulturna, a rozprawy w sejmie pruskim przypominają najgorętsze czasy starć religijnych. Partya katolicka po ogłoszeniu listów cesarskich straciła całkiem nadzieję przyjścia do skutku ugody w sprawach kościelnych. Przywódcy jej, Windhorst i Schorlemer-Alst, żądali przywrócenia stosunków dawnych i zniesienia praw majowych. Pierwszy z nich zarzucił nawet Bismarkowi, że uniemożebnia pokojowe zamiary cesarza Wilhelma.

Konferencya Dunajowa, wedle ostatnich doniesień, zgodziła się, niespodziewanie bez żadnego prawie oporu, na żądania Rosyi co do odnogi Kilijskiej. Postanowiono wyjąć odnogę tę z pod władzy komisyi europejskiej i zostawić zupełną swobodę Rosyi przedsiębrania tam wszelkich robót, mających na celu regulacyę korytai ulepszenia żeglugi handlowej.

Wobec tego los Rumunii na konferencyi międzynarodowej dowiódł jeszcze raz przysłowia, że „gdzie się bąk przebije, tam mucha uwięźnie;“ przeciwko bowiem zamiarowi rządu rumuńskiego zniesienia wolnych portów na jego terytoryum konferencya zaprotestowała.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Klęska za klęską spada na delegacyę polską we Wiedniu. Nie przebrzmiała, bo i nierozstrzygniętą jest jeszcze dotychczas sprawa „prowizyi“ dra Kamińskiego a ciągle rodzące się nowe nieporozumienia to z rządem, to znów z innymi klubami prawicy coraz bardziej osłabiają stanowisko Koła polskiego, które do niedawna tak było silnem... W dodatku własne jego postępowanie tego jest rodzaju, że obudza wkraju niezadowolenie i nieufność.

„Smutnych — pisze *Gazeta narodowa* —doczekaliśmy się czasów. Delegacya nasza w Wiedniu traci głowę; zeszedłszy z bitego gościńca autonomii narodowej, błąka się po manowcach i na cierniach rozdziera szaty. Za przykład może posłużyć sprawa, na pozór mniej ważna: postępowanie z projektem ustawy o komasacyi gruntów. Ponieważ projekt wyszedł od rządu, przeto posłowie nasi *nie śmieli* podnieść zarzutu, że sprawa ta nie do kompetencyi Rady państwa, lecz do sejmów należy a nawet przez usta dra Madejskiego wyraźnie przyznali Radzie państwa prawa, których nawet centralistyczna konstytucya z r 1867 jej nie przyznaje. Gdy wskutek tego w całem dziennikarstwie krajowem (nie wyjmując nawet *Czasu*) jednomyślny podniósł się okrzyk potępienia, delegacya nasza przekonała się, że na mylną weszła drogę i poseł Czerkawski starał się naprawić, co zepsuł poprzednio Madejski. Postanowiono ratować rzecz i siebie szeregiem poprawek do ustawy.

I cóż się dzieje? Sprzymierzeńcy nasi, dla których tyle razy łamaliśmy kark, odstępują nas; frakcye, nie wiedzieć z jakiej racyi zwane autonomistycznemi, głosują przeciw autonomii — poprawki nasze upadają. Ale nie dość na tem. Odpierając jedną z poprawek, pos. Kopp (centralista) oświadczył, że jeśli panowie z Galicyi uważają ustawę za szkodliwą, on chętnie zgodzi się na wyjęcie ich prowincyi z pod ustawy. Na to — *incredibile dictu* — delegacya nasza idzie na lep i po odrzuceniu wszystkich poprawek swoich stawia odnośny wniosek.

I stało się, co się stać musiało... Chytry Kopp wystąpił z piorunującą mową, wzywając posłów z Galicyi, aby, jeśli chcą dla siebie coś *extra*, oddalali się przynajmniej wtedy, gdy sprawy innych krajów się rozstrzygają. Na to burzą oklasków okryte, formalne wyproszenie za drzwi nikt z polaków nie kusił się odpowiedzieć i wniosek polski, przez sprzymierzeńców niepoparty, upadł wśród trudnych do opisania uczuć wstydu i upokorzenia na ławach polskich, urągania i wiernokonstytucyjnych a nietajonej *Schadenfreude* u naszych tak zwanych „sojuszników.“

Wypadek ten, to dopiero przegrywka do zajść, których w niedługim czasie należy oczekiwać, a które tyle przynajmniej sprawią może dobrego, że delegacya galicyjska wyleczy się już raz z nad-

miernego zawracania oczu ku hr. Taaffemu.

Usuwają się... Przed niespełna rokiem założone zostało w Krakowie „Towarzystwo oświaty ludowej.“ Urzeczywistnienia pięknych celów młodego stowarzyszenia jęli się ludzie szczerze postępowi, co oczywiście nie w smak poszło *Czasowi* i całemu, strupieszałe hasła jego wyznającemu stronnictwu. Nieprzyjazne krakanie osiwiałego gawrona ucichło jednak niebawem. Gdy atoli młoda płonka cywilizacyi w coraz silniejsze rozrastać się zaczęła konary i obiecywać plon obfity, acz dla wsteczników wcale niepożądany — „rząd moralny“ krakowski uznał za stosowne wystąpić znowu do boju, kryjąc się jednak tym razem po za tarczę powagi kościoła i klątwą godząc przedewszystkiem w tę nieliczną garstkę naszego duchowieństwa, dla którego oświecanie ludu nie wydaje się jeszcze zbrodnią przeciwko pierwszemu przykazaniu. Oto, co pisze krakowski biskup Dunajewski w liście swym, pomieszczonym w najświeższej *Currendzie* konsystorza krakowskiego:

„...Jaki sztandar wywiesiło tutejsze „Towarzystwo oświaty ludowej,“ nie było mi wiadomem, gdyż nie udzieliło mi swych ustaw, jak to uczyniło względem Towarzystwa rolniczego, choć celem nietyle zbliżonego. Dopiero zapytany (przez niektórych księży) o wskazówkę postępowania, postarałem się na innej drodze o ustawy Towarzystwa. Z nich wnioskować muszę, że oświata ludu naszego nie ma być opartą na wierze katolickiej, gdyż o wierze ani kościele najmniejszej nawet wzmianki niema; kierunek niezdecydowany i przynajmniej obojętny w wierze. Nie, tą drogą do oświaty ludu naszego się nie dojdzie! *Nie zapoznaję szlachetności celu, jaki wytknęło sobie Towarzystwo, nie mam zamiaru wydawać sądu o działalności jego dotychczasowej*, ale dopóki ustawy nie zostaną zmienione w tym kierunku, aby lud nasz miał zapewniony zdrowy, oparty na wierze pokarm dla duszy, dopóty *dla kapłana katolickiego miejsca w niem nie ma*, dopóty katolicki i polski kapłan popierać go nie może.“

Parę podkreślonych a odczytanych razem zdań zwalnia nas zupełnie od dodawania do listu biskupa Albina jakiegokolwiek komentarza. Również bez komentarza, acz z innych powodów, pomieścił go także *Dziennik polski*, ów postępowy niegdyś *Dziennik polski*, który zeszedł obecnie do roli lwowskiej edycyi krakowskiego *Czasu*.

Węgierskie rządy. Znaną jest powszechnie nietolerancya węgrów a zwłaszcza dzisiejszego ich „liberalnego“ rządu. Ucisk jego najsrożej odczuwać się daje słowakom i rusinom, ale i inne narodowości, osiadłe na ziemiach, wchodzących w skład korony węgierskiej, wcale nie są zadowolone z dzisiejszego systemu madyaryzacyjnego. Tylko że te ostatnie, np. serbowie albo rumuni, mający punkt oparcia po za granicami Węgier, w królestwie serbskiem i rumuńskiem, niszczącemu prądowi o wiele śmielszy i skuteczniejszy stawić mogą opór, niż osamotnieni i opuszczeni przez wszystkich a jedynie w granicach królestwa węgierskiego zamieszkali słowacy. Stosunek węgrów do innych obywateli *Magyarorszagu* roztrząsa oczywiście ościenna prasa niemal codziennie, zachęcając tym sposobem rodaków swoich do wytrwałości w walce, zmierzającej ostatecznie do zupełnego wyzwolenia się z pod obcej przemocy. Głos tego rodzaju, acz o wiele od innych umiarkowańszy, znaleźliśmy niedawno nawet w półrzędowym *Telegraphulu* bukaresztenskim, który z powodu agitacyj węgierskich wśród drobnego plemionka czangomagyarów. zamieszkałych w krainie rumunów, wypowiedział kilka uwagi godnych zdań, przeciwko rządowi węgierskiemu wymierzonych.

„*Adversus hostes aeterna* — mówi *Telegraphul* — *est auctoritas*. My z naszej strony powinniśmy się tylko cieszyć z prądu, przejawiającego się obecnie w Budapeszcie, który uprawnia nas nie do tego teraz wprawdzie, abyśmy się upominali o ziemię naszych przodków i żądali od naszego nieprzyjaciela rachunków z ucisku, wywieranego na naszych braciach, ale do tego, abyśmy się jęli tychże samych środków, co nasi szowinistyczni sąsiedzi, abyśmy zakładali filantropijne towarzystwa i popierali młodzież naszą, prześladowaną przez madziarów...

Na Bukowinie, gdzie rumuni stanowią czwartą zaledwie część ludności naszej, zamieszkałej w Węgrzech, cieszą się ziomkowie nasi znacznie szerszym zakresem praw politycznych. Przedstawiciele ludu rumuńskiego mogą z całą swobodą używać rodzinnej mowy w wiedeńskim parlamencie, rumuńskie ich szkoły kwitną a wszechnica czerniowiecka jest instytucyą w połowie rumuńską. Na Węgrzech zaś—dzięki wyjątkowej ustawie wyborczej dla Siedmiogrodu—rumuni pozbawieni są swobody słowa; mowa ich wyparta z politycznego życia i prześladowana nawet w szkołach; pieniądze ich, owoc ciężkiej pracy, służą madziarskiemu tyranowi do wykuwania nowego oręża dla prześladowania; ba, co więcej, nawet prywatna dobroczynność na korzyść rumuńskich szkół jest wzbronioną.

Czyż wobec takiego stanu rzeczy nie jesteśmy w prawie domagać się, aby w interesie uciśnionych naszych braci chwycił się naród nasz tychże samych środków, co węgrzy w interesie czangów?

W walce narodów — mówi to pismo dalej — temu przypadnie zwycięstwo, który dowiedzie większej żywotności. Prawo przyrody jest tak pięknie postanowione, że zwycięstwo jednego narodu nad drugim wychodzi zawsze na korzyść cywilizacyi i postępu ludzkości. Przejęci tą prawdą, my rumuni, którzy należymy do starej cywilizowanej rodziny ludów, z ufnością wyczekujemy nieuniknionego boju z madziarstwem, które od czasu usadowienia się w Europie (przytyk do koczowniczego ongi życia węgrów. Przyp. Red.) niczem nie dopomogło do postępu tej części ziemi i z którego nie wyszedł nigdy żaden znakomitszy człowiek, albowiem najznakomitsi królowie, generałowie i mężowie Węgier byli rumuńskiego albo innego pochodzenia, ale nigdy madziarskiego. Bój z tem plemieniem gotuje nam lekkie a pewne zwycięstwo.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Prasa poznańska. W Poznaniu wychodzi w r. b. 16 czasopism polskich. Z tych codziennych jest trzy (*Dziennik poznański*, *Kuryer poznański* i *Goniec Wielkopolski*), 1 wychodzi 4 razy na tydzień (*Orędownik*), 1 trzy razy (*Gazeta poznańska* z tendencyą niemiecką), 1 dwa razy (*Wielkopolanin*), raz w tygodniu zaś wychodzą następujące pisma: *Przyjaciel ludu*, *Gwiazdka* (dla ludu), *Oświata* (literackie dla średniej inteligencyi), *Warta* (literacko-naukowe), *Tygodnik powieści* (beletr.), *Ziemianin* (rolnicze), *Przegląd kościelny* i *Niedziela* (kościelno religijne). Co dwa tygodnie ukazuje się wreszcie *Dwutygodnik dla kobiet*, a co miesiąc *Pasiecznik*.

Niemieckich czasopism wraz z urzędowymi *Amtsblattami* wychodzi 10. Jedno z nich (*Polnische Corresp.*) ma tendencyę polską.

Prócz tego wychodzi w jednem z miasteczek na prowincyi pismo pasiecznicze *Pszczelarz*.

W Prusiech Zachodnich wychodzą w Toruniu: *Gaz. Toruńska* codziennie, *Przyjaciel* (tygodnik dla ludu) i *Gospodarz* (tygodnik rolniczy).

W Prusiech Wschodnich *Gazeta lecka*, drukowana gotykiem.

W Peplinie pod Gdańskiem *Pielgrzym* (2 razy tyg. i *Krzyż*.

Na Szląsku wreszcie pruskim w Mikułowie: *Katolik*, *Monika* i *Poradnik gospodarski* a w Bytomiu *Gazeta górnoszląska*. *Goniec górnoszląski* (oba te pisma 2 razy na tydzień) i *Postęp rolniczy*.

Razem przeto wychodzi w Prusiech pism polskich 29, a nie jak *Kuryer codz.* wyrachował — 17. Obliczenie jego jest wogóle błędne. Nie zaliczyliśmy tu nawet *Posłańca św. Józefa*, miesięcznika, niemającego najmniejszej racyi bytu, jeżeli *Niedziela* nietylko Bogu, ale i wszystkim świętym jest poświęconą. *Kuryer św. Symplicyusza* ukaże się mimo to niebawem.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. St. Kal. Wiersz ten może mieć wartość tylko dla osób, dla których śmierć autora jest bolesną stratą. W oderwaniu od przyjacielskiego stosunku — stanowi on bardzo zwykły wylew liryzmu.

Panom J. Tw. i A. Wisz. Codziennie między godziną 3 a 5.

P. J. N. z ulicy Niecałej. Oba wyrażenia są zupełnie jednolitej wartości gramatycznej. Język polski, nieskrępowany w swej składni jak niemiecki lub francuski, pozostawia szeroką swobodę przestawiania wyrazów.

Sprostowanie. W nrze 8-ym *Prawdy*, str. 88, szp. 1 w. 3 u góry zamiast Robinetem, czyt. *Robinem.*

Już po wydrukowaniu w niniejszym Nr. 9 *Prawdy*, w pierwszej części poematu *Galilee vicisti* spostrzeżono w niej brak następujących wierszy:

po słowach cios piorunowy
I wrzała burza starganych nadziei
po słowach jasnych i promieni
Słońca pieszczoty nie znała od wieka
i po słowach cienie nocy
Duchów upadłych wyszedł groźny książe.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Февраля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.